



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidt: kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Święto grobów w bieżącym roku przeciągnęło się do dni trzech, z powodu, że zaduszki obchodzone w Poniedziałek a Wszystkich Świętych wypadło w Sobotę; przez dni trzy napływały tedy tłumy na cmentarz, gorzały kolorowemi blaskami mogiły, stopy wieńców i kwiatów zawisły na krzyżach i pomnikach, a przeszło dwieście tysięcy ludzi zwiedziło same Powązki, niosąc ofiary pamięci i żalu swym drogim ceniom zmarłych.

Na kilka dni przed samemi zaduszkami przybyła cmentarzowi powązkowskiemu ozdoba, a cześć Królikowskiego zasłużony i trwalszy objaw uznania i hołdu ze strony ziomeków; znakomitemu tragiczemu postawiono pomnik na własnym jego grobie.

Wspominałem o samem dziele pod względem artystycznym wówczas, gdy marmurowy posąg jego twórca, p. Bolesław Syrewicz, wystawił w Salonie Towarzystwa zachęty.

Wahano się przez chwilę: czy nie należałoby tego posągu postawić w przedsionku Wielkiego Teatru po jego zrestaurowaniu?—i wtedy krytyka wypowiedziała otwarcie swoje zdanie, że dzieło p. Syrewicza w ogólnem pojęciu i charakterze nadaje się więcej na grobowiec cmentarny, niż na pomnik w foyer teatru.

I krytyka się nie myliła, a artysta sam musiał uznać słuszność tej uwagi, gdyż w tym pierwszym celu wykonał swą statwę, nadając jej właściwy układ i cechy, odpowiednie przeznaczeniu pomnika.

Dzisiaj posąg Królikowskiego na wyniosłym postumencie, ozdobionym bronzowemi oznakami

sztuki i sławy, wybornie się przedstawia i jest niewątpliwie jednym z najpiękniejszych dzieł rzeźbiarskich, dzieł sztuki, nie roboty kamieniarskiej, na cmentarzu powązkowskim.

W foyer stanie zapewne kiedyś posąg wielkiego tragiczaka obok posągu genialnego komika warszawskiej sceny; stanie marmurowy Królikowski przy marmurowym Żółkowski, inaczej pojęty i odpowiednio do miejsca wykonany, przypominający w fizioonomii, w ruchu, choćby nawet w kostymie, więcej artystę, którego kreacje tragiczne wyrzeźbiły się w pamięci całych pokoleń publiczności, którego widok wskrzesi od razu wspomnienia Franciszka Moora, Rodin'a, Mefista, Wojewody, Edypa, Shylocka i tyle innych scenicznych postaci, które przez lat kilkadziesiąt zachwycały miłośników sztuki i tragedyi.

Zasługa p. Syrewicza zostanie nie mniej znaczną i publicznej podziękii godną, o czém nie dosyć pamiętano z okazji odsłonięcia i poświęcenia pomnika Królikowskiego na cmentarzu; jego staraniom i pracy, bezinteresownie ofiarowanej, zawdzięczać trzeba w znacznej części doprowadzenie do skutku projektu, który mniej energicznie podjęty a nie poparty należycie praktycznemi środkami, nie byłby się zapewne tak rychło urzeczywistnił.

My wiemy przecie dobrze, jak się to długo pomniki stawia i jak one z kamienia rosną, nawet przy zgromadzonych funduszach i na gruntach konkursowych...

Pan Syrewicz sam zaofiarował się pierwszy z chęcią wykonania pomnika tylko za koszt marmurowego bloku i wywiązał się szlachetnie z przyrzeczenia, o czém pamiętać warto.

Wogóle nasza pamięć publiczna bywa dziwnie kruchą i im goręcej się odezwie w pierwszej chwili, tem prędzej ostyga i wietrzeje.

Niedawno miałem sposobność na tem miejscu zapisać wstydu godny fakt zapomnienia o zwło-

kach ks. Adama Jakubowskiego, które omaz katakumb w sześć lat po śmierci zasłużonego męża nie dostały się do wspólnego dołu nędzarzy; dzisiaj przychodzi mi na myśl inny dowód zobojętnienia i zapomnianego obowiązku względem człowieka, który tak niedawno jeszcze był niemal bożyszczem dla bardzo wielu.

Mówię o D-rze Tytusie Chałubińskim; w zeszłym tygodniu minęła pierwsza rocznica śmierci znakomitego lekarza i uczonego; staraniem pozostałej wdowy i rodziny urządzono nabożeństwo żałobne za jego duszę, o którego odprawieniu nie znalazłem nawet na drugi dzień wzmianki w „Kuryerach“.

Rok dopiero, jak umarł, jak jego stratę oplakivano, jak się rozpisywano po dziennikach o wielkości tej straty, jak przyrzekano wiecznie pamiętać o nim i tę pamięć przekazać następnym pokoleniom: a tymczasem piękne i szlachetne zamiary usnęły drzemką sprawiedliwych i do żadnego nie doprowadziły rezultatu.

Cosię stało z projektami byłych uczniów, kolegów, przyjaciół, licznych pacjentów, znajomych i wielbicieli Chałubińskiego?..

Nic się nie stało.

Mówiono o wydawnictwie imienia zmarłego, o fundacyi na jego cześć, o tablicy pamiątkowej w jednym z kościołów warszawskich, o pomniku na grobie jego w Zakopanem, o sprowadzeniu zwłok do Warszawy, sypano w zapale projektami, jak z rogu obfitości, a po roku zaledwie — nie dano nawet wzmianki o egzekwiach staraniem i kosztem rodziny urządzonych.

Tosamo stało się z pięknymi zamiarami uczczenia pamięci Kraszewskiego. Nieboszczyk Kryński prawie darmo, z własną stratą i pokrzywdzeniem pozostałej wdowy swej, przygotował do pomnika dla autora „Starejbaśni“ figury, emblematy i ozdoby; potrzeba było na dopełnienie kosztów, wykonanie kamieniarskich robót i złożenie całości kilku tysięcy rubli.

Istniał osobny komitet upoważniony do zbierania składek, pisano odezwy, przypomniano, przypominano na darmo, aż nareszcie zapomniano, i „tytanowi pracy“ pozostawiono tylko ten wyszukany tytuł, którego nie udało się dotychczas wyręć na szarym piaskowcu, nie już na marmurze z brązowymi ozdobami.

O pamięci, ty nitko babiego lata, którą wiatr fantastycznie zwija i unosi, czasem przypadkowo zaczepi o cośkolwiek po drodze i przytrzyma, a częściej zwieje gdzieś bez śladu, potarga i śladu po niej nie zostawił. Mamy wielką, powiedziałbym: hysteryczną, zdolność ulegania pierwszemu wrażeniu i w tej nadczułości zdobywamy się niekiedy na odruchy bardzo napozór energiczne, ale to rzadko trwa dłużej, rzadko zagłębia się w nas i utrwała. Przychodzi i odchodzi. Z takim usposobieniem ogół ma coś z impresjonisty w sobie, który tworzy jaskrawe kontrasty, maluje kleksami i nie lubi długo słęczyć nad wykończaniem mozolnem swoich szkiców.

Ta nadczuła wrażliwość objawia się u nas bardzo często w krańcowościach, które nie pozwalają nam utrzymać równowagi i właściwej miary, czy to sądu, czy woli w zbiorowej opinii lub zbiorowym działaniu...

W zeszłym tygodniu ukończył się proces Skublińskiej i jej towarzyszek, które w Lutym b. r. wykrytą przypadkowo zbrodnią nabrały nagle smutnego głosu w całym kraju i zagranicą.

Według tego, jak w pierwszej chwili sprawę przedstawiono w reporterskich doniesieniach, Skublińska była jakimś potworem wcielonym w kobietę, jakąś średniowieczną czarownicą, a mieszkanie jej na poddaszu przy ulicy Śliskiej mordownią dzieci, jaskinią najbardziej nieludzkich zbrodni, postrachem dla całego świata.

Wówczas oburzenie wzrosło do najwyższej potęgi a wraz z niem litość dla istot nieszczęśliwych, dla matek wyszukiwanych, dla dzieci padających ofiarą anormalnych stosunków z jednej, a okrucieństwa z drugiej strony.

Wszyscy potępiali fabrykantkę aniołków bezwzględnie, byli gotowi poprowadzić ją na stos i żywcem spalić razem z jej pomocniczkami i pomocnikami, a na tem miejscu stracenia wystawić olbrzymi dom przytułku dla podrzutków, z ofiar do „garnuszka“ zamiast jałmużniczej skarby zbieranych.

Przez kilka miesięcy toczyło się sądowe śledztwo, przesłuchano około stu świadków, spisano całe foliały zeznań, i zeszłego tygodnia od Wtorku do Soboty publicznie sądzono winnych; a gdy się okazało, że rozmyślniej zbrodni najgłówniejsza winowajczyni nie popełniła, że pierwotne winiści były przesadzone, że główkę dziecięcych o szyby od kominia nie rozbijano w mieszkaniu Skublińskiej, że nędza i ciemnota były najważniejszą przyczyną winy, że stosunkowo mniejszy procent dzieci oddawanych do niej umierał z wycieńczenia i odziedziczonych chorób, aniżeli w szpitalach i domu podrzutków: wtedy nagle z jednego krańca w drugi zaczęła się przerzucać opinia.

Słyszałem prawników, którzy z zapalem mi dowodzili, iż Skublińska jest niewinną; słyszałem dziennikarzy, którzy chcieli jej bronić publicznie i całą winę zwalić na społeczeństwo, na złą organizację stosunków i brak instytucji społeczno-filantropijnych; słyszałem fizjogmistów, którzy z głosu Skublińskiej wnioskowali o jej łagodności a z twarzy innych podsądnych o pewnej naiwnej dobroci lub co najwyżej, głupocie, bez śladu żeźwierżenia lub zbrodniczych instyktów.

Tensam krańcowy prąd potępiania i mściwości przerzucił się w przeciwnym kierunku: rehabilitacji i współczucia.

Z potwornej morderczyni, z więdźmy pierwotnej, oskarżonej o najbardziej nieludzkie czyny, na wspomnienie których dreszcze człowieka przechodziły, zrobiła się prosta i głupia baba z przedmieścia, która wybrała sobie jako środek do życia pośredniczenie w oddawaniu dzieci do domu podrzutków na podstawie fałszowanych świadectw.

Dopóki mogła przy obejściu przepisów policyjnych chować dzieci zmarłe z wycieńczenia — lub odziedziczonych chorób, na cmentarzu, dopóty ro-

biła to niby legalnie; gdy jej współnicy przestali wydawać świadectwa cyrkulowe i nie mogła grzebać trupów dziecięcych, obawiając się odpowiedzialności za proceder niedozwolony, który był środkiem utrzymywania jej i jej rodziny, zaczęła przechowywać zwłoki dziecięce w swoim własnym mieszkaniu, na strychu, w komórce, gdzie się dało.

Wypadek zdradził ją i wydał sądowi. Śledztwo i ostateczna rozprawa wykryły nadużycia innego rodzaju, sprowadziły przed sąd urzędnika cyrkulowego, niejakiemu Polkowskiemu, który dostarczał Skublińskiej fałszowanych świadectw przy pomocy uległych sobie rządców domu i ułatwiał jej za wynagrodzeniem po sześć rubli od dziecka umieszczanie niemowląt w domu podrzutków.

Ten pan, który z urzędu swego powinien był pierwszy sprawę Skublińskiej wykryć i nie dopuścić do przestępstw dalszych, nietylko pomagał złemu, ale wyzyskiwał nędzarke, był jej współnikiem.

Człowiek inteligentny z całą samowiedzą źle robił w chęci zysków i moralnie był karygodniejszym od wszystkich współoskarżonych w tym procesie.

Wyrokiem sądu Maryannę Skublińską i jej towarzyszkę Agnieszkę Zdanowską skazano na trzy lata więzienia, zaś Pawła Polkowskiego na pozbawienie wszystkich szczególnych praw i przywilejów i na półtrzecia roku poprawy w rotach areztanckich.

Innych spotkała kara mniej dotkliwa za nadużycie zaufania i sprzeniewierzenie się obowiązkom służbowym.

Z całego procesu można było wyciągnąć wiele wniosków szerszej natury, oskarżających wadliwy porządek naszych społecznych stosunków, wytykających jeszcze ważne braki w urzędzeniu pewnych spraw publicznych, które są smutną koniecznością każdej epoki, domagających się wreszcie reformy niezbędnej, jeżeli nie mają się powtarzać podobne processy i przestępstwa *à la* Skublińska i Polkowski.

Obronca Skublińskiej, młody adwokat Kijeński, miał wdzięczne pole do rozwinięcia swoich zdolności i traktowania przedmiotu na szerszą skalę, skorzystał też z tego i przy pomocy statystyki tworzył argumenta, na których odparcie trudno było znaleźć odpowiedź.

Wykażal np., że procent śmiertelności w przytułkach państwa rosyjskiego równa się śmiertelności w zakładach zachodniej Europy, t. j. że za ledwie jedno dziecko na ośm zostaje przy życiu.

W szpitalu Dzieciątka Jezus śmiertelność niemowląt doszła obecnie 50–60%, to znaczy, iż połowa ich umiera przy całej troskliwości i opiece zakładu. W tym stosunku wszelako śmiertelność między dziećmi, które przeszły przez ręce Skublińskiej i jej towarzyszek, wynosiła tylko 24⁴/₁₀ procent.

A zatem trzecia część tylko ginęła.

Dlaczego jednak niesiono dzieci do niej i dlaczego nosić będą nieszczęsne matki swe niemowlęta do innych Skublińskich, które jeszcze przed sądem nie stanęły, chociaż im się to oddawna należało?.. Odpowiedź prosta: bo nie mają nieść do kogo innego, bo muszą korzystać z tych pokątnych przytułków, jeżeli nie chcą same popełnić zbrodni kryminalnej, lub zmarnieć razem ze swem małeństwem na bruku.

„Z najszanowniejszych ale niepraktycznych powodów—powiada p. Kijeński—zniesiono od roku 1871-go złobek istniejący przy szpitalu Dzieciątka Jezus, ale na jego miejsce nie stworzono nic innego i zostawiono sprawę bez wyjścia.“

Ofiarność publiczna, która się odgrażała, że sypnie pełną garścią grosza „na garnuszek“, że nie pozwoli z głodu umierać tysiącom biednych dzieci, skończyła na tem, że ręce schowała do kieszeni i odwróciła się od zbyt wzruszającego ją widoku.

To najłatwiejszy środek, ale nie najszlachetniejszy, rozwiązywania spraw ogół obchodzących.

Wspominałem tyle razy o Ogrodzie Zoologicznym, którego losy ważą się i rozstrzygają w rozmaitych kommissjach, delegacjach i projektach, że nie śmiałbym znowu zajmować nim uwagi czytelników, gdyby nie muzeum etnograficzne, istnie-

jące przy Zwierzynca a zagrożone obecnie przeprowadzoną likwidacją spółki.

Te zbiory, złożone przez prywatnych ofiarodawców, włączono do ogólnego inwentarza, oszacowano i postanowiono sprzedać; jakim prawem?.. Chyba *de jure caduco*. Muzeum miało być instytucją publiczną, nie stanowiło własności akcyonaryuszów, bo ci, którzy je swojemi ofiarami wzbogacali, nie czynili tego dla miłości spółki ani Ogrodu Zoologicznego, tylko w zamiarze utworzenia instytucji osobnej, korzystającej chwilowo z wolnego pomieszczenia w Bagateli.

Szkodaby była wielka, gdyby gotowy związek takiego Muzeum zmarnował się i rozsypał przy publicznej sprzedaży.

Wiadomo przecież, jak u nas trudno o wszelki początek i o każdą podwalinę. Skoro istnieje taka podstawa, choć nie bardzo jeszcze szeroka do przyszłych zbiorów etnograficznych w Warszawie, niechże jej nie rozdrapują dłużnicy przedsiębiorstwa, którego ofiarą padło już dosyć prywatnych kapitałów.

Do owego Muzeum p. Leopold Janikowski niedoszły dyrektor Zwierzynca Warszawskiego, przeznaczył część swoich cennych okazów z wnętrza Afryki, które przywiózł z podróży po dzikich krajach i kilkoletniego pobytu wśród ludźców.

Dwie sale w Muzeum przemysłu i rolnictwa zajęła wystawa ubiorów, narzędzi, broni, instrumentów muzycznych, fetyszów, pieniędzy i wyrobów dzikiego plemienia Mpangue, które p. Janikowski studyował w Afryce.

Kiedy się zważy, że staraniem i kosztem prywatnej jednostki zebrano tyle tych okazów, po które zagraniczne instytucje wysyłają osobnych agentów; kiedy się uwzględni nadto, że właściciel ich zamierza ze swoich afrykańskich zbiorów zrobić szlachetny użytek i przeznaczyć je na własność publiczną,—to mimowoli wyciąga się rękę do uścisku dłoni człowieka, godnego szacunku i uznania za taką bezinteresowność i ofiarność.

Wystawa jest tem bardziej zajmująca, że p. Janikowski osobiście daje objaśnienia zwiedzającym i opowiada przy tej sposobności mnóstwo ciekawych szczegółów ze swych podróży, nie żałując głosu aż do ochrypnięcia.

Wkrótce usłyszymy to wszystko w formie odczytów, które nasz podróżnik zamierza wygłosić w dużej sali Muzeum.

Za kilka miesięcy będziemy mogli innego polskiego turystę uprosić, aby nam z katedry opowiedział swoje wrażenia z wycieczki... do Brazylii. Znany pedagog i belletrysta Adolf Dygasiński płynął w tej chwili na pokładzie emigranckiego okrętu do Ameryki, jako delegat „Kurjera Warszawskiego“, wysłany tam w celu naukowego zbadania stosunków wychodźczych za Oceanem.

Pierwsze listy jego malowały nędzę i obłęd obalamuconych ofiar transportowanych do Bremy; następne przyniosą zapewne opis podróży na statku, wylądowania i osiedlenia się emigrantów w owym kraju złota, oliwy, dyamentów świecących, pieczonych gołąbków i gruszek na wierzbie...

Wybór pisarza tak utalentowanego, tak dobrze obznajmionego z ludem, takiego obserwatora, jak Dygasiński, był bardzo trafny i obustronnie korzystnym, bo zarówno ze względu na interes pisma, jak i ze względu na talent nowelisty, który zyskać powinien bardzo dużo na wrażeniach za Oceanem.

Następuje tedy w naszej prassie epoka Stanleyów i Blowitzów nasładowujemy wielkich potentatów zagranicznego dziennikarstwa—na mniejszą skalę; zaczynamy ryzykować na korzyść pism i prenumeratorów coraz więcej. Ciekawa rzecz: czy się tylko czytelnicy na tem poznają?

W zeszłym tygodniu z polecenia „Kuryerów“ i „Tygodnika ilustrowanego“ odbyła się wyprawa trochę bliższa niż do Brazylii, bo tylko do Dąbrowy, ale w swoim rodzaju zajmująca; wysłano tam umyślnych sprawozdawców i rysownika, aby zebrali materiały do opisu pożaru kopalni węgla, eksploatowanej sposobem rabunkowym przez Niemców.

Pożar ten, wynikły skutkiem niedbałej i bezwzględnej gospodarki w kopalniach p. Kramsty, gospodarki prowadzonej przez jego inżynierów i officialistów tylko dla największego wyzysku, jest jakby karą za popełnione winy.

Wiadoma rzecz, iż miał węglowy i węgiel kamienny w pewnych warunkach przy dłuższym zetknięciu się z powietrzem i przy nagromadzeniu gazów zapala się; to niebezpieczeństwo przewidywane w kopalniach i usuwane przez zasypywanie ziemią i piaskiem wydobytych pokładów było zanadto lekceważone w gwarectwie p. Kramsty. Według wiarogodnych relacji w łonie kopalni od roku tliło się już i pożar głośny istniał tak długo, aż nareszcie rozzuchwalony zaniedbaniem zarządu rozpełtał się w czeluściach i wybuchnął na zewnątrz ośmioma kraterami ognia.

Kilku górników postradało przy tej katastrofie życie, wielu pozostało na razie bez chleba z powodu przerwania robót w bezsilnej walce z rozszalałym żywiołem.

Obecnie po wypaleniu się i spopieleniu węglowych warstw na znacznej przestrzeni, pożar podziemny wygasa powoli, ale zachodzi drugie niebezpieczeństwo, zawalenia się niepodpartych sklepień w szybach, usuwania się ziemi i zapadania w głąb wypalonego krateru.

Straty wyniosą krocie tysięcy rubli, które pożar zrabował nieopatrzny właścicielom — jako karę za systemat rabunkowy w eksploatacji kopalni.

Może to będzie nauką i przestrogą na przyszłość.

Sezon jesienny rozpoczął się tedy od wypadków sensacyjnych — i od muzyki, która stanowi dziś jeszcze główne źródło wrażeń i rozkoszy dla syreniej Warszawy. Koncertujemy!.. Koncertujemy naszym pięknym zwyczajem, ale jakoś nie tak tłumnie uczęszczamy jeszcze na koncerty. Symfonia dziewiąta Beethovena zrobiła swoje: zapełniła sale reductowe, — czy zapełni na jutrzejszym powtórzeniu? — trudno przewidzieć, zwłaszcza po zeszlotygodniowym koncercie symfonicznym i po pierwszym „katedralnym“ poniedziałku w Resursie Kupieckiej.

Oba programy były bardzo zajmujące, wykonanie wyborne przy udziale najlepszych sił artystycznych, a jednak i tu i tam były pustki.

Poważna muzyka ma u nas niebezpieczną konkurencją... w dwóch cyrkach i dwóch muzeach osobliwości. Może to powód pustek w salach koncertowych.

Zobaczymy, jak się miłośnicy muzyki zachowają wobec Barcewicza, który 28-go b. m. urządza własny koncert, wobec pp. Nikity - Nicholson i Lieblinga, wobec Stevenhagena, poprzedzonego sławą pierwszorzędnego pianisty, wobec Pauliny Lucca, i wobec innych znakomości, zapowiadających najazd na muzyczną Warszawę.

*

*

*

Śmierć swoje żniwo prowadzi niezmordowanie.

Przed dwoma tygodniami zabrała nam kapłana ś. p. ks. *Józefa Hollaka*, który z dziecięcia ludu wyrósł na biskupa arateńskiego i sufragana dyecezyi sejneńskiej. Nieboszczyk był nauczycielem religii i pomocnikiem rektora w Instytucie głuchoniemych a potem proboszczem parafii Wszystkich Świętych na Grzybowie, ostatnio zaś proboszczem w Wyłkowyszkach, gdzie też żywot zakończył.

W Krakowie w ostatnich dniach zeszłego miesiąca zmarł nagle dr. *Maksymilian Nowicki*, który z nauczyciela ludowego pracą, wiedzą, zdolnościami wznosił się na katedrę Uniwersytetu Jagiellońskiego i był jednym z najznakomitszych przyrodników naszych. Jako zoolog pozostawił po sobie dzieła i zbiory do poznania fauny krajowej, jako ichtiolog i założyciel w Galicyi Towarzystwa rybackiego zapisał swe imię w ekonomicznym rozwoju tej prowincyi wielkimi staraniami i trudem około zaprowadzenia pisykultury w rzekach i jeziorach galicyjskich.

W Warszawie zmarł cichy, skromny, uzdolniony muzyk i kompozytor, ś. p. *Kazimierz Kratzer*, którego melodyjne i tęskne piosenki stały się popularnymi na estradach koncertowych.

Quis

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

L u t y.

Kornilo Huc służył we dworze lat dwadzieścia pięć. Pochował starego pana, doczekał się młodego, pohodował własne dzieci, przeszedł różne przewroty.

Wieś go nie lubiła, a on z nią mało miał styczności.

Wójtem był za czasów pańszczyznianych, i tego skóry garbował. Po uwłaszczeniu włościan dnia jednego nie zmitrężył. Nowa era wolności nie była mu niczem osobliwym; on się z dworem zżył, i on jeden podczas chwilowego buntu, gdy wieś cała, dla okazania swej swobody nie chciała pracować, nawet za pieniądze, u pana, on jeden, o świcie tego wielkiego dnia, poszedł, swoją ścieżką, na gumno, na służbę.

On jeden, gdy rozdawano ziemię, nie połakomił się na żagon, i zapisano go jako „batraka“, ze szmatką ogrodu.

Konserwatystą był do szpiku kości. Nie znosił innowacyi, bał się wielkich obietnic i darów.

Rygor też staroświecki panował u niego, w chacie, która stanowiła wyjątek we wsi pod względem ładu i czystości. Synowie dorosli — żonaci, i parobcy, — słuchali ojca jak malcy. Bil ich, ale i lubił. Za łaskę sobie mieli, gdy pochwalił, albo rozchmurzywszy poważną twarz, zażartował.

Trzymał też ich przy sobie i od dziecka nauczył ich chodzić swoją ścieżyną do dworu.

Nigdy Huce nie szli na flisy, na dalekie zarobki do kolei, na leśne fabryki; nie uczyli się też czytać, ani pisać w szkółce; uniknęli szczególnym sposobem wojskowej służby; jako „batraki“ nie spełniali nawet żadnych gminnych urzędów.

Chata ich żywiła osób kilkanaście przecie, i nie znała przednówka.

Stary Kornilo, zwany we wsi „pańskim psem“, we dworze miał wielkie zachowanie. Szanował go ekonom i niższa służba, bo widzieli jak pan przed starym gumienym uchylał czapki, jak go poważał, jak go traktował, i cenił.

Na Hucę nikt głosu nie podnosił, nikt nań „ty“ nie wołał; młodzi całowali go w rękę.

W razie choroby odwiedzała go w chacie pani, przysyłała doktora, wino, herbatę, troszczono się jak o przyjaciela.

Pobierał 60 rubli pensyi, trzech synów brało po 40, a latem, gdy na łan pański szły kobiety, zbierało się także kilkadziesiąt rubli.

Był więc dostatek: były krówy, które nie znały wioskowej paszy; były owce; była komora pełna zboża, łnu, wełny; były na nich świty cienkie, białe płótna, wysokie buty.

Ciągle obcowanie z dworem odbiło się nawet na powierzchowności młodych. Gdy w święto wychodzili na ulicę, oglądano się na nich. Ogoleni, ostrzyżeni, weseli, szli i wtedy do dworu, trochę później tylko; wracali wcześniej, ale ścieżyna ta ojcowiska stała się ich nałogiem.

Zajmowały ich konie, które pracowali, zajmowało życie dworu; przyłgnęli i oni do tego pana, który ich ojca szanował.

Kornilo Huc stracił dawno żonę, ale w chacie były dwie synowe i Prytulanka z córką.

Tak nazywano kobietę żebraczkę, która przez

długie lata pędzano z chaty do chaty — bezdomną, bezrolną, bez rodziny i opieki.

Latem każdy ją chętnie trzymał i wysługiwał się, jesienią każdy za próg wyrzucił, żałując chleba, tembardziej, że dziecko miała.

W tych wędrówkach, zastukała raz do Huców i weszła.

Przyjęto ją spokojnie bez frazesów i ubolewań; ale też nie wypędzono więcej. Chleb pański sycał ich: wystarczył i dla nędzarki; nigdy go jej nie poskąpiono, a stary Kornilo sam często dziecko karmił — dzieckowynędniałe, woskowo żółte, chore.

Wkrótce potem pani wstąpiła do chaty, jak zwykle była czynić od czasu do czasu, zobaczyła Prytulankę i dowiedziała się: kto jest.

— Dziadku! — rzekła do starego — byliście dotąd sami, a teraz jest wśród was Boża łaska. Zobaczycie, jak wam się będzie szczęściło.

Huce słuchali z uwagą i uszanowaniem.

Pani pogłaskała dziecko.

— Moja droga! — zwróciła się do kobiety, która swe błędne, zdziczałe poniewierką oczy wlepiła w nią jak w obraz — przyjdźcie do mnie z małżą. Obie potrzebujecie lekarstwa i kąpeli przedewszystkiem. Przyjdźcie, proszę.

W ten sposób i Prytulanka poznała ścieżkę Huców.

Została w chacie, i po kilku latach zatarła się w niej pamięć niedoli i biedy; rodzinę Huców uważała za swoją, dobro ich za własność. Oni ją nazywali ciotką; dziewczyny nikt słowem nie skrzywdził.

Zimą cztery kobiety przędły i tkwały, prały i szyły; latem stawały wszystkie na dworskim łanie.

Olenia miała wyrosła nieco, ale pozostała blade i mizerna. Ona co południe nosiła do dworu dwojaki ze strawą dla mężczyzn, i ścieżynę Huców znała doskonale.

Karmił tedy chleb dworski ośmioro ludzi, i oni jedni z całej wsi go błogosławili.

Kłótni i swarów nie było w chacie, bo nie było czem się dzielić. Wieczorem rozmawiali o jutrzejszej robocie, niefrasobliwi ani o siano, ani o przednówek, ani o wiosenne podatki.

Izba była bielona, z kominem, zawieszona obrazkami. Stary nie cierpiał brudów i nieporządku, gderał synowe o byle co. Młodzi, napatrzywszy się na pokoje we dworze, musztrowali też kobiety.

One same wiedziały, że gdy pani kiedy wstąpi, to je wstydzić będzie: wypędzały też z izby kury i prosięta, tępiły robactwo, zmywały stoły i ławy.

„Pany“ — pogardliwie nazywano Huców we wsi, a oni, słysząc to, śmieli się też pogardliwie.

Chata ich jednak miała dla kobiet i młodzieży urok nieopisany. Przestronna była, z podłogą, i jasna w długie wieczory zimowe, bo nad stołem paliła się lampa wisząca, z kominkiem i blaszanym daszkiem, rzecz arcy-osobliwa w Hrywdzie.

Schodziła się tam młodzież na „muzykę“, którą uprawiał Karpina, najmłodszy syn gumiennego. W poście schodziły się tam sąsiadki z „potasami“ (prząśnicami), na wieczornice. Na raucie takim roztrząsano bieżące sprawy, opowiadano sobie plotki, prawiono cuda o znachorach i strachach.

Mężczyźni w gawędach tych nie brali udziału. Stary pół-uchem słuchał, grzejąc kości u komina; młodzi melli w żarnach, lub rabali drwa; Karpina tylko wtrącał do bajek kobiecych jaki dosadny żart lub powątpiewanie.

Pewnego takiego wieczora gwarzono w najlepsze przy wtórze furkotania wrzecion.

Baby w swych fantastycznych białych namitkach i krasnych „andarakach“ (spódnice) obsiadły ławy, zydle, nawet piec; to jedna, to druga, opowiadała dzieje sąsiadów. Ów bil żonę, drugi klócił się z bratem, inny krał co się udało. Huce milczeli, obojętni. Oni ze swej uczciwości się nie szczycili, ale też na błędy innych mieli niezmiernie poblażanie.

Wtem drzwi skrzyknęły: wszedł Kalenik.

Gość to był rzadki; to też Kornilo zdziwił się, ocy podniósł, a baby umilkły.

Olenia Prytulanka spojrzała na dorodnego parobka i schowała się za plecy matki, okropnym

strachem zjęta. Od paru godzin drżała z poczucia winy, której dotąd wyznać się nie ośmieliła.

Kalenik istotnie na nią najpierw popatrzył.

— Rozbiła nam wasza „najmitka“ (najemnica) wiadro! — rzekł burkliwie.

— Jaka najmitka? U mnie są synowie i sierota, niby córka! — poważnie odparł stary Huc.

— Nu, to sierota!

— Rozbiłaś, Oleniu? Będzie cię! — krzyknął Karpina, patykiem od mioty jej grożąc, a Prytylanka już się porwała i odpasywała fartuch.

Olenia wiedziała, że sznurki tego fartucha smagają jak bicze, i rzewnie płakać zaczęła.

— Cyt! — krzyknął stary Kornio, i do starszego syna się zwrócił: — Ty, Matwiej, weź zaraz nowe wiadro w komorze i dopasuj do zórawia, a ty, Karpina, słabszemu nie wygrażaj, bo to wstyd.

Po tym sędzie nastąpiła cisza. Baby podziwiałły mądrość Huca, a Kalenik zdumiał. Nawykły w chacie do awantury o lada grosz, do kłótni i buntów, nie pojmował jak stary spokojnie przeniósł stratę wiadra, a jak ci synowie na słowo jego byli posłuszni.

Matwiej wyszedł natychmiast, a Karpina spuścił głowę i poczerwieniał jak dziewczyna.

Hubenia podrapał się w swe kudły złotawe, ale nie odchodził.

— Mam ja do was prośbę! — szepnął.

— Co? — zagadnął stary.

— Pożyczcie mi „króbkę“ żyta.

— Nie macie już swego?

— Niema ni garści.

— To pożyczonem będziecie żyć?

— A cóż? Kupić niema za co. Pieniądze poszły na siano, a reszta na drzewo. Sień się zawaliła. A tu prędko i podatki wybierać będą!

— Licha taka gospodarka. — mruknął Huc.

— Było kop dwadzieścia, ale i rozchód jest. Na magazyn zszypali, na szkołę — a taki i jeść jest komu. Nas dusz sześcioro; a wieprz, a kobyła...

— Do nowego zboża pięć miesięcy.

— A musi tak! — apatycznie odparł parobek, znowu swe złote włosy wicherząc.

— I jeszcze o jedno prosić będę! — wahając się mówił dalej.

— O co? — spytał Huc.

— Żeby wy Matwiejowi pozwolili nasze „sieni“ postawić. Ja do siekiery, niesprawny, a on majster pierwszy.

— A diadko twój? Toż cieśla!

— Leży chory. Musi umrzeć! Rany ma na nogach; róża pobila do kości.

— To czemuż ratunku nie szuka?

— Dał Czyruk ziele.

— Niechby do pani poszedł! Sławnie od róży leczy.

Kalenik obojętnie ramionami ruszył.

— Matwieja nie dam, bo służbę ma. Teraz u nas we dworze dostawę kartofli. Nie ma czasu.

— Ja-by za niego stanął na ten tydzień. Poratujcie, bo sam rady nie dam.

Matwiej wrócił, ale się do rozmowy nie mieszał. Szczaćki wiadra pobitego z sobą przyniósł i oglądał, jakby je naprawić.

— Chcesz, Matwiej? — spytał ojciec.

— Niebardzo. Konie mi „pogłumil“ (zanięba).

— Boh me; będę pilnował jak własnych. Poratujcie!

— Jak trzeba, to trzeba — mruknął stary. Jutro on do was z siekierą przyjdzie, a ciebie z sobą zabierzemy. A teraz, chodź.

Wstał, zapalił małą lampkę, i poprowadził za sobą parobka.

— Masz worek? — spytał.

Weszli do komory, ogromnej, zamczystej. Kalenik ujrzał beczki ze zbożem i stanął, zawistnie je rachując. U nich na jesieni nawet było tyle.

Huc odmierzył króbkę żyta.

— Na, bierz! Nam starczy. U nas przednówka niema. — Wasze gospodarstwo — to nie panowanie, ale marnowanie się! My robimy dla pana, a wy to nie wiecie dla kogo, bo i nie dla siebie.

Kalenik worek na plecy zarzucił i nic nie odparł, bo usłyszał gdzieś blisko hałas straszny, i uszu nastawił.

— U nas to? — zamruczał, szybko wychodząc. Hubeniów chata, z zawałoną sienią, przedstawiała obraz ruiny i nędzy.

Zwewnątrz rozlegał się krzyk, lament, uderzenia głuche, zawrozenie nieludzkie!

Parobek wskoczył po rumowiskach do środka. Izba, pełna dymu, w półciemna, była teatrem małżeńskich sceny. Stary Sydor, rozczochrany, wpólnagi, widocznie pijany, bił żonę, a raczej dobijał ją, włócząc za włosy po ziemi.

Młodsze dzieci skuliły się w kącie. Kiryk siedział na brzegu pieca i śmiał się cynicznie, kopiąc papierosa skręconego w kawałku gazety.

Sydor z wściekłości nie mógł dobyć już głosu. Jedną rękę wnrzył w siwiejące włosy kobiety, w drugiej trzymał „mlon“ (drąg od żaren) i okładał nim jej ciało, nie zważając gdzie trafi.

I rozlegały się razy prędkie i głuche, po kościach, po piersiach, po głowie, a za każdym razem opór słabł, głos ofiary cichł, przechodząc w chrapanie i świst śmiertelny.

Dzieci zawodziły jak głodne szczenięta, i widać było w cieniu ich twarzy blade, wykrzywione, obrzękłe od febry i złego żywienia.

Kalenik zboże z pleców zrzucił i do stryja przyskoczył.

— Porzuć! Hody! Zabijesz! — wołał, szamocząc się, by mu mlon z rąk wydrzeć.

— Zabiję wiedźmę! — krzyknął wściekły Sydor, odpychając go. Ale parobek, silniejszy, oparował go, oderwał od baby, pchnął w kąt.

Kobieta leżała nieruchoma, sina. Chlusnęła na nią wody — ani drgnęła.

Wtedy przerażony rzucił się do drzwi.

— Lude — ratunku! — krzyknął.

Ludzie byli niedaleko. Przysłuchiwali się, stojąc pod chatami. Ciekawe baby wnet napełniły izbę.

Zaczęto Sydorową włóczyć po ziemi, oblewać wodą, kurzyć ziołami.

— Spyrty! (spirytusu) kanchory! (kamfory) wołano.

— Dyabeł ją ma! — burknął Kalenik — umarła, taj, hody!

— We dworze jest spyrty! — zawołała Prytylanka! — Olenia, biegnij do pani żywo!

Dziewczynka skoczyła pędem.

Kalenik, zwiesiwszy ręce, przypatrywał się scenie.

Roilo mu się już śledztwo, sąd, turma dla stryja, i ze strachem myślał, że go pewnie do więzienia wsadzą latem, w sam czas roboczy. Żebyż wzięli teraz, na przednówku, z ranami, niedołęgę!

Sydorowa wciąż nie dawała znaku życia. Leżała rozkrzyżowana, pokrwawiona, sina, w poszarpanej odzieży.

Sydor, widocznie zmęczony, położył się na przypiecku i obojętnie patrzył na krzątające się baby. Nikt na niego uwagi nie zwracał.

— Kiryk? — spytał Kalenik — jak to było? Czego się oni poszarzyli?

— Czego? — Maty głupia! — Kazał mi baćko wódki z karczmy przynieść: ja przyniósł. Ona do mnie z krzykiem i dała mi w gębę. A ojciec za mną stanął: — Nie śmiej chłopca bić! — Będę! — odpowiada. — Ot jej teraz za to!

— To u was pieniądze na wódkę są, a zboże pożyczamy! — oburzył się parobek.

— Szynkarz z baćkiem rachunki jakieś ma! — Nie bierzcie pieniędzy. To musi jeszcze za te koła, co je ojciec na jesieni z dworu przyniósł.

Kalenik umilkł znacznie uspokojony.

Tymczasem Sydor wytrzeźwiał i strach go zjął przed odpowiedzialnością. Rozepchnął baby, przykucnął nad żonę, nożem rozwarł jej zęby i resztkę wódki z flaszki wlał w gardło.

W tej chwili wróciła zdyszana Olenia ze dworu.

Zaczęto wycierać kobietę spirytusem, napojono ją znowu wódką. Nareszcie dała znak życia — zajęczała słabo, potem coraz głośniejsze, a w końcu rozwarła oczy błędne.

— Będzie żywał! — zdecydowały baby, podnosząc ją z ziemi. Sydor, uspokojony, wgramolił się

na piec. Kalenik patrzył, jak szanowne opiekunki wypijały resztę wódki i spirytusu, i splunął parę razy z łakomstwa.

Ułożono kobietę na ławie. Urywanemi słowami skarżyła się na ból głowy i piersi, potem stękała ciężko.

Powoli opróżniała się chata. Odchodząc, ludzie się dziwili, że stary Sydor jeszcze taki silny, i że widocznie lubi żonę, kiedy bije.

Kobieta stękała noc całą. Kalenik myślał: kto im jutro obiad zgotuje i kto wieprze nakarmi?

Z tą troską zasnął.

Nazajutrz nie jedli śniadania. Sydorowa miała gorączkę i spuchnięta była — czarną od sińców.

Popatrzawszy na nią, Kalenik głową potrząsnął.

— Durny ty, diadku, durny! — rzekł. — Kto widział bić tyle! Zapomnieli, że jedna baba w chacie! Teraz co zrobim?

Sydor, ponury, milczał.

— Durny! — powtórzył Kalenik wychodząc.

Matwiej Huc już był z siekierą na dziedzińcu i zalecał mu dobre starania około swej fornalki. Kalenik dopędził gumienego z synami na ścieżkę dworskiej. Rzadko tam bywał. Hubenie uchodzili we wsi za bogatych, i nie pracowali nigdy we dworze. Stary Sydor bywał u pana na wiosnę, gdy płacił za paszę bydła, bo Hrywda, uboga w siano i wypasy, dzierżawiła dworskie pastwiska, w dąbrowie za strugą.

Stary nie dowierzał synowcowi i sam się targował, podając zwykle mniejszą ilość bydła, niż posiadał w rzeczywistości. Stary też załatwiał drażliwe kwestye, gdy gęsi, wieprzak lub koń wpadły w szkodę i, zajęte przez polowego, pokutowały w areszcie.

Zresztą chiński mur zastarzałych niechęci, zazdrości, niewiary dzielił wieś od dworu. Służyli tam chłopci, ale ze złą wolą; pracowali, ale źle i leniwie.

Dla Kalenika dwór był czemś tajemniczem, strasznym i nieznanym. Piętrowe mury, olbrzymie chlewy, brogi słomy, setki bydła, to wszystko napełniało go uszanowaniem i grozą i trwogą.

Gdy dnia tego znalazł się nagle w sercu tej potęgi; gdy ujrzał gromadę fornalek, moc ludzi; gdy usłyszał loskot młocarni i gwizd pary w gorzelni, — stracił zupełnie głowę.

Karpina Huc wskazał mu fornalkę Matwieja, tęgą parę ciemnych kasztanów, i skrzynię do kartofli, do której miał konie zakładać, i sam do swej roboty skoczył.

Wychodzili ze stajni wszyscy, gdy Kalenik pana zobaczył. Ten władca miał twarz spokojną i wesolą; to tego to owego z parobków zagadnął; na Hubenię spojrzął zdziwiony.

— Ty co za jeden? — zapytał.

— To za naszego Matwieja — podchwycił Karpina.

— Cóż mu? Chory? — z zajęciem pan spytał.

— Nie, proszę pana, we wsi zajęty.

Pan dalej nie pytał — i odszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

XC.

Wieczory fredrowskie. — **List**. Polemika o niego w r. 1826. — Poranek jubileuszowy p. Józefa Grzywińskiego. — **Lolotta**, komedia w 1 Akcie z francuzkiego, Meilhac'a i Halevy'go. — **Łapka na myszy** (*La souris*) komedia w 1 akcie z francuzkiego. — Pp. Rakiwiczowa i Noiret. Role tragiczne. — **Grajek**, obrazek sceniczny p. Zygmunta Przybylskiego.

Od trzech tygodni p. Tatarkiewicz urządza w Teatrze Rozmaitości co Poniedziałek Wieczo-

ry Fredrowskie. Wystawił już w czterech takich wieczorach *Dożywocie*, *Damy i Huzary*, *Meża i żonę*, *Zręczność i Przekorę*, *Świeczka zgasła*, *Dwie bliźny* i wreszcie, po raz pierwszy dla dzisiejszego pokolenia, *List*. Publiczność dopisuje dobrym chęciom reżysera i z wyjątkiem niepoprawnych łóż żadne miejsce nie świeciło nigdy pustkami. Na jednym tylko przedstawieniu wesółych *Dam i Huzarów*, może z powodu Zaduszek, publiczności lożowej było tak mało, że się pomieściła na wprost samej sceny. Bywając na wieczorach fredrowskich, można i obowiązek swój spełnić i dobrze się ubawić i zadowolnić się wyższym połotem twórczego umysłu i podziwiać wreszcie niezrównaną łatwość i potoczność wiersza, a gdy się sposobność zdarzy, to i wdzięk wyższej liryki.

List wystawiono u nas po raz pierwszy w teatrze Narodowym w Październiku 1826 roku. P. Zalewski może o tem niewątpliwie znajdzie dowód niezbity w *Gazecie korespondenta* z t. r., w n-rze 166, chociażby odrzucił postawiony przez Goślickiego w *Pamiętniku sceny warszawskiej*. Wystawienie drobniaku fredrowskiego dało przed 64 laty powód do polemik, przypominających zarzuty i spory dzisiejsze, jeżeli nie w głosach Irydy sprawozdawczej, częstokroć przysyłającej sobie oblicze i sznurującej usta, to na tym wiecu pierwszych rzędów krzesel, dzisiejszego parteru teatralnego, który sprawozdaniem ton a gieldzie krytycznej kurs bieżący nadaje. Sztuka wzięta, jak to Fredro od razu przy pierwszym jej wystawieniu zawiadomił, z niemieckiego *Der unruhige Abend*, nie jest świetną, ma nawet niefredrowskie słabizny, ale prztem i wiele humoru w głównym zwłaszcza charakterze Orgona, wypierającego się zazdrości, a wpadającego w zazdrość, — podejrzewającego żonę, a schwytanego przez nią na gorącym uczynku schadzki w ogrodzie, i dotego jeszcze w nocy. Schadzki tej przecie istotną sprawczynią była tylko noc: panienki, nawet zdające examen z moralności, mogą bezpiecznie na scenę tę patrzeć.

Trudno nie przyznać słuszności sprawozdawcy *Gazety korespondenta*, gdy psychologizną pobudką Zdzisława zakochanego w Zofii nazywa bląhą i nielogiczną. Cały ten Zdzisław kręcący się ciągle po ogrodzie, więcej szkodzi, niż pomaga sztuce, opartej na Orgonie i temacie podejrzliwości i zazdrości. Dla tego tematu, dla lekkiego przeprowadzenia go przez charakterzy męża i żony, deklamującej wiersze, jakby się zwracała do (nieistniejącego) kochanka, ówczesna *Gazeta warszawska* w n-rze 167 wzięła sztukę w obronę. X. w niej pisze: „Charakter Orgona stawia kilka scen komicznych, a kilka scen komicznych przy jednym dobrze nakreślonym charakterze zdaje mi się dostatecznym do zadowolenia tych, którzy dla zabawy, a nie w chęci tylko samej krytyki, idą na teatr.“ Zupelna prawda. Psychologii głębokiej nikt od *Listu* nie wymaga; jest to wyraźny żart dla ubawienia widzów. Reżyserya dobrze zrobiła, przypominając dziś utwór fredrowski publiczności, która aż nadto dowodzi zamilowania swego w grubszym nawet komizmie. A prztem Fredro musi mieć swoje prawa szczególne na wieczorach, noszących właśnie jego nazwisko.

P. Frenkiel grał dobrze Orgona: uderzył w strunę niższego komizmu, bez karykaturalnej przesady. Pociągnięty przez niego, grał i p. Wolski żywiej, niż mu własne jego pojęcie roli wskazywało.

P. Józef Grzywiński doczekał się już na scenie dwudziestopięcioletnia. Artysta ten pożyteczny, sumienny, wyrozumiały na krytykę, skromny, jest dziś jedynym Cześniakiem w *Zemście*. Ukazał się też jako Cześniak na swoim jubileuszowym poranku, d. 1 Listopada, i zebrał zasłużone uznanie. Deklamacyą sławnego czterowiersza trzeba poprawić, pogłębić, opracować — a niemając drugiego Rychtera, na tym Cześniaku już poprzestaniemy, jakiego nam dać może p. Grzywiński.

Poranek jubileuszowy przyniósł Warszawie dwie nowości francuzkie, dwie drobnostki: *Lolotte* i *Łapkę* (alias „Pułapkę“) na myszy: pierwszą wysypali ze wspólnego worka konceptów pp. Meilhac i Halevy; drugą — niewiadomy autor. Waga pierwszej z tych sztuk jest w rozwiązaniu, które prawdę żywą pokrywa pozorami sztuki

aktorskiej, dzięki temu, że żywa osoba komedyjki jest aktorka, owa właśnie Lolotte — wdzięcznie przez p. Ludową oddana. Druga sztuczka, właściwie dyalog, zasadza się na uciekaniu przed myślą, która osobiście przecie nie występuje, — to wiele, bo dla czegóżby publiczność nie miała się i tem stworzeniem, zdaleka widzianem, nacieszyć? *Pułapka*, bardzo pospolita w rozmowie, pomysłem tylko objawia pewną śmiałość, mającą więcej wspólności z gymnastyką, niż z dramaturgią. Wskakiwanie dorosłego mężczyzny, adwokata z Carpentras, na fotel dla uchronienia się przed potworem, jest równie błazenkowe, jak wchodzenie jego do mieszkania młodej wdowy przez okno. Wdową, wcale ujmującą, była p. Czaki; adwokatem, który ją łapie w pułapkę, bez żadnej zresztą własnej zasługi, p. Prażmowski.

Przedstawienie poranne, bardzo starannie dobrane przypomniło nam *Maryę Stuart* (Szyllerską) i *Dalilę*, a w obu tych sztukach Modrzejowską. Coza szkoda, że p. Rakiewiczowa tak mało ról tragicznych miała w pełnym rozkwicie swych sił; coza szkoda, że p. Noiret tak rzadko sił rozkwitających w tragedii doświadczać może! Elżbieta dzisiejsza przypomina jeszcze dawniejszą, Marya dzisiejsza pozwala odgadnąć przyszłą — a jedna jeszcze, druga już zadowolnić może. Niema przecie ani w jednej, ani drugiej choćby przedostatniego tylko wyrazu sztuki. P. Noiret udał się naprawdę tylko ostatni wybuch, zakończający rozmowę z Elżbietą. Postawa była zanadto przez cały czas wyprężoną, gra rysów zbyt gwałtowna, niewzbudzająca wiary, falowanie piersi także nieprawdziwe, niepotrzebne, głos niedostatecznie nastrojony. Wszystko to zmieniłoby się na dobre, gdyby artystka miała sposobność częściej pracować w tragedii. *Fedre* np. rasynowską opracowała, ale reżyserya sztuki tej nie daje, a nie daje, bo jej publiczność brać nie chce. Zdolności p. Noiret na scenie naszej wyglądają jak drzewo zasadzone w pokojowej doniczce.

P. Marcello nie była szczęśną Dalilą, a ucharakteryzowała się już wręcz nieszczęśliwie. Rozwejnował jej p. Ładnowski — nieźle.

P. Zygmunt Przybylski napisał i wystawił *Grajka* — napisał podobno dawniej, wystawił dopiero teraz. Przeciwko napisaniu nic mieć nie można, ale wystawienie zganić potrzeba. Lepiej było pozostać już autorem *Wicka i Wacka*, niż twórcą elegijno-melodramatyczno-rodzajowo-nieprawdziwego obrazka. Gotówem uwierzyć w to, że *Grajek* stanowi utwór pierwszej młodości autora. Ten Bonicki p. Przybylskiego jest wyraźnie tekturowy i wydaje też z siebie, zamiast głosu człowieczego serca, odgłos tektury. Maryanna, zestawiona z nim, ma tylko zajmującą — salopę (dzięki artystce i garderobie teatralnej) oraz jedną chwilę jakby z *Kawalera marcovego*. Jej wiekuiście sprzeczki o kolor włosów kochanego Edzia Bonickiego, syna, zmarłego przed 30 laty — zamiast wdzięku naiwności, wzbudzają tylko niesmak fałszu. Sam Grajek wreszcie jest wytworem bardzo niewybrednej w indywidualizowaniu uczuć i nieszczęść ludzkich, wyobraźni. Całość arcy-słaba. Gdzie to p. Przybylski widział, żeby od progów kościelnych, w wielkim czy małym mieście, odpędzano źle ubranych, z powodu ich ubrania? Gdzie znajduje wierzących w całą historią hałasowania w szynku, w tułactwo takie romantyczno-elegijne — w całego tego Grajka? Obrazek sprawia takie wrażenie, jakby go p. Przybylski dorobił do ostatniej sceny konania suchotnika.

P. Ładnowski był Bonickim, p. Zimayerówna — Grajkiem, p. Borkowska Maryanną. P. Zimayerówna złożyła nowy dowód małego powołania do sceny.

Stanisław Krzeźniński.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań, w Październiku 1890 r.

Niejednokrotnie już wspominałem wam o stałej martwocie naszego miasta, które jednak ulega peryodycznym rozbudzeniom, ilekroć się uda zgalwanizować poniekąd uspione żywioły towarzyskie. Najczęściej owa cudowna przemiana następuje w jesieni, pod wpływem jakiego niezwykle gościa, umiejącego czarem słowa czy tonów zakląć do życia senne miasto i wprowadzić doń, choć na chwilę, żywszy ruch i gorętsze tchnienie. Tym razem czarodziejską siłę wywarła przybyła zza morza pani Modrzejowska, po latach nieobecności, które nie zacieżyły, ani na jej wdziękach, ani na jej talencie. Zdumiewająca to, zaiste, kobieta, prawdziwa artystka w wielkim stylu. Pamiętamy ją przed dwudziestu przeszło laty na tejsamej scenie poznańskiej, gdzie obecnie znów występuje; pamiętamy śliczną wprawdzie, lecz dość zwyczajną aktorką, której powierzano role naiwne, bo o dramatycznych jeszcze się jej ambicji ani śniło. Powoli rozchodziły się wieści o coraz śmielszym wstępowaniu jej po szczeblach sztuki, o święconych w Warszawie, czy w Krakowie, tryumfach, o coraz poważniejszych i donioślejszych powodzeniach. Nie było już czasu ani sposobności z wędrowną trupą powracać do Poznania, i straciliśmy ją z oczu. Słyszeliśmy tylko, iż, razdotknąwszy się Shakespeara ukochoła go całą duszą, zapragnęła go przeniknąć, a nawet grać w oryginale; że z nieśmiertelnym Williamem zawarła śluby nierozzerwalne i, nauczywszy się najtrudniejszego języka w świecie, odważyła się iść w zawody na scenie angielskiej z wyspiarskimi artystami. Następnie dochoziły nas odgłosy rzetelnych tryumfów odniesionych w londyńskim *Court Theatre*, aż naraz usłyszeliśmy, że pani Modrzejowska opuściła Europę, aby w Ameryce nowe zbierać hołdy i wawrzyny. Dalekie ich echa odtąd nie przestawały płynąć ku nam odbiciem wszystkich uniesień i hołdów, jakie otrzymywała od uniesionych Yankesów, podbitych czarem jej gry i ozu.

Madame Modjeska Countess Bodzenta, jak ją zowią za oceanem, pochyciła tam za berło sztuki i nie rychło je chyba wypuści. Zaliczona do rzędu najznakomitszych artystów, grywa Ofelią wespół ze sławnym Boothem, uosabiającym Hamleta jakich mało; idzie o lepsze z miss Ellen Terry i zwycięża ją wykształceniem wrodzonego talentu; gasi wreszcie sławną z urody mis Langtry, bo w żadnej z tych gwiazd dramatycznych niema tej iskry wyższego uzdolnienia, która ją ożywia. Nie wahamy się tu nawet mówić o genialnych zdolnościach Modrzejowskiej, bo prawdziwie genialności potrzeba, aby się tak samoistnie wykształcić, aby się wprawić w obcą mowę i nie zrazić obcemi wymaganiami i warunkami, — wszystko przełamać, pokonać, do wszystkiego się nagiąć i wszystko też osiągnąć. Lekki akcent cudzoziemski dodawał jeszcze exotycznego uroku polskiej artystce wobec zamorskiej publiczności, która dziś ubolewa, iż amerykanizująca się coraz bardziej *Madame Modjeska* zatracza powoli ów ślad obcego pochodzenia. Nie gardzi ona wysoką komedią, podejmuje chętnie dawne role, niegdyś grywane z powodzeniem. Wszakże i u nas wystąpi w tym tygodniu z kolei w *Walce kobiet*, w *Adryannie Lecouvreur*, w *Ćwiartce papieru*. Ale jej ulubione charakterzy — to szekspirowskie bohaterki. W nich dopiero cały jej talent rozwija właściwe i lotne skrzydła, różnostronna giętkość, siłę, wdzięk i rzetowność. Rozalinda, Imogena, Porcyja, Ofelia, Beatryx, Desdemona — z kolei wszystkie te podejmuje role, stawiając na wyżynach, na jakich mistrz je chciał mieć i przedstawić. Zapytana: w jaki sposób studjuje poszczególne charakterzy, i czy wielkie im poświęca badania i lektury? — odpowiada, z prostotą zara-

zem i wielkim rozumem, że przeciwnie, nie szuka nadmiaru wskazówek i wiadomości; odczytuje tylko bardzo uważnie wszystko, co inne osoby dramatu o bohaterce mówią. Wystarcza to często najzupełniej, aby pełnią światła oblać postać naczelną i dokładnie ją scharakteryzować.

Ostatnią postacią, którą sobie przyswoiła pani Modrzejowska, to Lady Macbeth, najtragiczniejsza z szekspirowskich kreacji. Udało nam się widzieć niektóre ważniejsze sceny strasznego dramatu, odegrane w salonie z niesłychaną siłą przez wielką naszą artystkę. Cała fatalność zbrodni nigdy chyba wymowniejszego nie znalazła wyrazu. Słabą tego próbą dano nam było niegdyś oglądać w *Balladynie*. Spotęgowany dziś talent w całej już grozie przedstawia potworną dumę i ambicję Lady Macbeth, jej zbrodnię i zgryzoty. Jakby dla ustalenia odniesionego zdą wrażeń, artystka pokazuje nam fotografie wykonane w Stanach Zjednoczonych a przechodzące wszystko, co znamy z zakresu tej słonecznej sztuki. Cień osoby, padający obok wizerunku, dodaje prawdy i wyrazu odbiciu. Widzimy tu Lady Macbeth w różnych momentach rozgrywanego się w jej duszy przełomu. Zrazu czeka na małżonka, a już jej się snują obrazy przyszłej wielkości; dalej w nocnym stroju idzie z zapaloną lampką, a później już bez lampki usiłuje krwawą na rękę zetrzeć plamę... Nareszcie zasiada na tronie kupionym sobie zbrodnią i, w królewski obleczona majestat, patrzy w dal, gdzie ją nie ominie pomsta i niebios karal Wyrazistość oczu i twarzy znakomitej artystki pochwyconą została wiernie: tragiczna to maska, a jednak zawsze niezrównanie piękna. Hygieniści twierdzą, iż klimat kalifornijski ma tę właściwość, iż, niby od mładzające źródło i zaczarowana Kastalii fontanna, zachowuje świeżość i krasę tym, którzy w nim zamieszkuje. Otóż, z przyrodzoną Polakom tęsknotą do roli i zajęć ziemiańskich, państwo Chłapowscy zakupili sobie opodal od San Francisco *ranch*, któremu nadali szekspirowskie miano, i tam, ilekroć ją znużenie ogarnia, pani Modrzejowska spieszy zasłużonych używać wczasów. Tylko, że zamiast ziemniaków lub żyta rośnie tam pieprz o jaskrawym kwieciu, lub zwieszają się złote pomarańczowe owoce, a na liściach bananu miejscowy ptaszek, zwany oryolem, snuje misterne gniazdko, których okaz z sobą właścicielka *ranchu* przywiozła, wraz z innymi osobliwościami swego gospodarstwa, niepokojonego mnóstwem wijących się tam grzechotników i tarantul, które zamęczają czar tych uprzywilejowanych pod względem słońca i pięknej przyrody okolic.

Niedostatek sił miejscowych nie pozwala pani Modrzejowskiej wyzyskać w Poznaniu swego szekspirowskiego repertoaru. Co najwięcej, zobaczmy ją w charakterze Beatryxy z *Wiele hałas o nic*. Ale już to, na co patrzymy, dowodzi nam jak dalece talent jej dojrzał, rozwinął się i wzmocnił przez pobyt w Ameryce, a może i przez zwycięskie zwalczanie trudności nowoobranego zakresu działalności. Głos brzmi jeszcze potężniej, jeszcze dramatyczniej, niż dawniej; ruchy wyszlachetniały klasycznie; umysł bogate dary uzupełnił prostotą, tym najwyższym szeblem piękna. Pewien hart, właściwy młodemu społeczeństwu, jedrność zdrowa świeżych plemion, jakby się udzielała tym, co wśród nich obecują.

Zapału naszej publiczności opisać niepodobna. Zaledwie sześć razy ujrzymy na naszej scenie niepospolitą artystkę. Zaczęła od Maryi Stuart, zakończy Beatryxą, między Schilerem a Shakespearem przejdzie przez Poznań, ku nowym śpiesząc tryumfom. Wieść niesie, iż spróbuje powodzenia w Wiedniu i Berlinie; ujrzy ją także Lwów, Kraków, a może i Warszawa. Tam najczęściej tęskne oko jej się wzwiera, a pamiątki niegdyś w dniach najświetniejszych powodzeń dramatycznych ofiarowane jej przez Warszawian, nosi dotąd najchętniej i pokazuje z rozrzewnieniem Wspaniałe toalety przyczyniają się niezawodnie do uwydatnienia trwałej piękności pani Modrzejowskiej. Nie widzimy podobnych strojów na scenie naszej. Cały przepych Ameryki, umiarkowany estetycznym starą Europę zmysłem, podnosi zewnętrzny urok postaci. Znamienita ar-

tystka wie zawsze najdoskonalej w czem jej jest do twarzy. Olbrzymie kufry, podpisane mianem bohaterki poszczególnych dramatów, morską odbyły przeprawę i towarzyszą pani Modrzejowskiej w jej europejskich wędrowkach. Wziętość zyskana w nowym świecie idzie za nią ślad w ślad na drugą półkulę, wysyłając do niej gońców przyjaźni i zapału. To który redaktor nowojorcki zawita na ład stary, aby się jej przypomnieć, to ją odwiedzają zamorscy znajomi ze sfer już tylko ogólnie obywatelskich. Nie rozłącza się z nią przyjaciółka, miss Freeman, pełna zapału, żywym obdarzona umysłem amerykanka, która zapragnęła obce zwiedzić strony i poznać ojczyznę tej, którą za innymi zowie *The Countess Bodzenta*, od przydomka Chłapowskich, wznowiego przez nich na obczyźnie.

Nie będziemy się rozpisywali nad poszczególnymi występami artystki, nad zapałem każdorazowego powitania, nad gradem kwiatów, jakimi ją obsypują, i szałem niemilkających oklasków. Nie tu miejsce rozszerzać się także nad niezwykłym ożywieniem, którym zawrzały ulice starego Poznania. Sztuczne to podniecenie zaledwie potrwa dni kilka, a przypomina nam dowcipne słowo jednego z naszych ziemian, który na widok podobnego niegdyś zakipienia obcej naszym stosunkom towarzyskości, mawiał, iż świat ten wizytujący się, strojący i gromadzący wieczorem, sprawia na nim zawsze wrazenie owych wieśniaczek, które, bosy odbywszy całą drogę, dopiero przed kościołem wciągają trzewiki. W istocie, cały ten świat stroi się i dostraja do sytuacji, przybiera pozory elegancji i etykiety, zpod których wygląda parafianaszczynna i pocziwa rubaszność wieśniacza. Ostatecznie całemu temu towarzystwu, silącemu się na wielko-światowy obyczaj i pozór, nierównie lepiej do twarzy w zwykłych ramach wiejskiego życia i cichych dworków wielkopolskich, podniesionych dziś do znaczenia warowni i świątyń...

Za kilka dni gwar ten cały ucichnie, i znajdziemy się ponownie wobec naszych trosk i obaw powszednich. Niezależnie od tego, sprawą obsadzenia stolicy arcybiskupiej pozostawia rzeczy w zawieszeniu, a tymczasem coraz-to nowych wysuwają naprzód kandydatów, jak ks. Ponińskiego, ks. Potulickiego, ks. Friskego... Odsunięty od następstwa Św. Wojciecha ks. Radziwiłł ma podobno zasiąść na strasburskiej katedrze. Ale są to tylko pogłoski, które zaledwie z kronikarskiego obowiązku powtarzamy. Gdy mowa o przyszłym naszym pasterzu, przypomina się najnowszy, trzydziesty szósty już, zeszyt pamiotkowego wydawnictwa biografii arcybiskupów gnieźnieńskich. Zawiera on dokończenie żywota Stanisława Szembeka i większą połowę życiorysu jego następcy, Teodora Potockiego, aż do roku 1728. Żywot Potockiego zapełnia tedy koniec panowania Augusta II i początek rządów Augusta III. Postać tego księcia kościoła z możnego Piławitów domu, przedstawia się zajmująco i barwnie. Przy prekonizacji jego zaszedł rzadki wypadek pewnych trudności, które stawiano, twierdząc, iż, jako sekretarz królewski i dygnitarz dworski, *lautius vivebat*, co się jednak przy bliższym rzeczy zbadaniu nie potwierdziło. Był to mąż wielkiej powagi, ze wszech miar godzien szacunku. Piękną po sobie w Gnieźnie zostawił pamiątkę przez założenie tej kaplicy Potockich przy katedrze, która świeżo, dzięki ofiarności hr. Adamowej Potockiej, uległa gruntownej restauracji, tak potrzebnej jeszcze innym częściom Wojciechowej świątyni.

U CHIŃCZYKÓW.

(z dzieła „Les plaisirs en Chine“ p. Tcheng-Ki-Tong).

(Ciąg dalszy).

Z kierunku wiatru który wieje w dzień nowego roku, wyciągają mieszkańcy rozmaite wróżby

o stanie atmosferycznym, o wojnie, suszy, złych lub dobrych urodzajach, o epidemiach i powodzi. Pierwszy wyraz, który się pisze dnia tego, ma także swoje złe lub dobre znaczenie, które wpływa na dalsze zdarzenia; to też wszyscy baczą na to, aby rozpoczynać listy od takich wyrazów jak: pomyślność, szczęście, powodzenie itp.

Na dziesięć dni przed ukończeniem starego roku rozpoczynają się tak zwane wakacje, podczas których wszystkie czynności administracyjne bywają zawieszane. W tym czasie odbywają się rozmaite ceremonie religijne pełne prostoty i rzetelnej poezji. Bogaci i biedni zarówno wyprawiają pożegnalną ucztę bogom domowym, dziękując im za doznaną w ciągu roku opiekę i dobrodziejstwa; poczem uroczystość przyjmują nowego bożka zesłanego przez Władcę Nieba, na ziemię, w misyji opiekuńczej, na ciąg trwania następnego lata. Ołtarz bożka ustawiany jest zawsze w kuchni, naprzeciw ogniska. Przed nim codziennie zapalają się świece i kadzidła. Tamto odbywa się wyżej wzmiankowana uczta, poczem wychyliwszy kielichy i wystrzeliwszy petardy, mieszkańcy rzucają na dach garść owsa, dla wierzchowca odjeżdżającego bożka. Następnie szybko uprzątają stół i zastawiają na nim nową biesiadę dla opiekuńczego ducha, który ma zastąpić swego poprzednika.

Uroczystości te i tym podobne dają powód do wielu zabobonnych praktyk, w których nie tylko nieoświecony lud, ale i cała inteligencja miejscowa, korporacje miejskie, dygnitarze i wojsko całę bierze udział. W praktykach tych odnajdujemy niejeden podobieństwo z naszymi t. j. processyą tuczego wołu na wiosnę; pochód z latarniami przez pola, topienie ołowiu i złota nad wodą dla wywrotienia przyszłości i t. p.

Processyą bogini opiekującej się matkami i niemowlętami odbywa się zwykle na początku roku. Palankin, na którym zasiada bożyszcze, obnoszone uroczystość przez miasto, cały umajony jest kwiatami. Kobiety bezdzietne zbiegają się zewsząd aby wyprosić sobie potomstwo u bogini. Jednocześnie postulantka robi votum, że jeżeli bogini wysłucha jej modłów, ona złoży jej w ofierze dar zastosowany do swoich środków.

Bogaci mieszkańcy a zwłaszcza mieszkanki miasta, zapraszają boginię do swoich domów, palą na jej cześć sztuczne ognie, zarzucają ją kwiatami i suto podejmują osoby uczestniczące w pochodzie. Wszyscy pragną sobie zjednać łaski bóstwa, albowiem mędrzec powiada: „Trzy są grzechy przeciw miłości synowskiej, a z tych największym jest niemiec: potomków“. To też celibat jest zabronionym w Chinach, i mandaryni mają prawo zmuszać mężczyzn do wstąpienia w związki małżeńskie po 30-ym roku życia, kobiety zaś po 20-ym. Z tego względu, gdyby nie wojny cywilne, głód, mór, rzezie i wychodztwo, ludność miejscowa zwiększałaby się w dwójnasób w ciągu lat dwudziestu.

Jedną z najbardziej charakterystycznych ceremonii religijnych, jest *kapiel Buddy*, podczas której odbywa się święcenie kapłanów. W przeddzień dnia wszyscy aspiranci do stanu duchownego, zgromadzają się w klasztorze, celem przedniego przygotowania. O godzinie 8 wieczorem z uderzeniem dzwonu, wszyscy kapłani klękają przed posągami bożka, odmawiają modlitwy i śpiewają hymny nabożne, poczem przełożony zdejmując z wysokiej podstawy małą statuetkę Buddy, stawia ją na srebrnej miednicy i polewa wodą. Podczas tej kąpieli, która trwa całe pół godziny, kapłani pogrążeni są w adoracji, a instrumenta muzyczne rozbrzmiewają hymnem tryumfalnym.

Konsekracja kapłanów odbywa się o północy. Wszyscy aspiranci, po dwu lub trzyletnim nowicyacie odbytym w klasztorze, muszą poddać się operacji nieco bolesnej, która odbywa się w wielkiej sali Buddy, wspaniale oświetlonej i wobec całego zgromadzenia. Dokoła ścian pozawieszane są obrazy apostołów Budyzmu i różne emblemata religijne. Przed każdym z nich klęczy postulant pogrążony w głębokiej medytacji. Główną jego jest zupełnie ogolona, a w pośrodku czaszki przytwierdzoną ma hubkę przesiąknię-

wonnościami, skórą w danej chwili przełożony zapala. Nieszczęśliwy, zadając gwałt cierpieniu, musi trwać w nieporuszonyj postawie, pogrążony w modlitwie, aż dopóki hubka całkowicie się nie spali i skóra na czaszce również. Dlatego to wszyscy kapłani budyjscy mają blizny na głowie, trzy co najmniej, a czasem dziewięć i więcej, stosownie do ich ascetycznej gorliwości.

Kiedy mały Chińczyk kończy pięć lub sześć lat, rodzice bez względu na stanowisko społecznej jakiej zajmują, zaczynają myśleć o jego edukacji. Jakkolwiek nauka nie jest obowiązującą w Chinach, potrzeba wykształcenia tak się powszechnie daje uczuć, że wszystkie bez wyjątku dzieci uczęszczają do szkół.

Wybrawszy w ciągu roku dzień poczytany za szczęśliwy, rodzice posyłają nasamprzód chłopca do uczonego, aby mu wyłożył pierwsze elementarne zasady nauki. Wycyzywszy się na pamięć trzech pierwszych wierszy księgi *San-Tse-King*, całej złożonej z trójśladowych wyrazów, w których się streszcza historia kraju i przepisy moralności obowiązujące każdego człowieka, uczeń wstępuje do szkoły, gdzie przechodzi dalszy ciąg wyżej wzmiankowanego dzieła, następnie zaś uczy się, znowu na pamięć, księgi *Tsien-Tsie-Weng*, napisanej literami, z których żadna się nie powtarza dwa razy. Jednocześnie nauczyciel kresli na zeszytach czerwone znaki, które uczeń winien naśladować według wzoru. Po tym kursie przygotowawczym następuje drugi, wyższy, zasadzający się na czytaniu czterech klasycznych dzieł Konfucjusza i innych ksiąg świętych. Podczas trwania tych nauk mistrz wyklada również uczniom zasady poezji, wprawia ich w rymowanie, uczy dobierać poetycznych porównań i przenosi, czytuje im wyborowe ustępy literatury i historii, wprawia ich w ćwiczenia piśmienne i sposobi do konkursu.

Corok młodzi kandydaci stawiają się w urządzenie aby wobec Cesarskiego delegata złożyć popisowy *examin* dojrzałości. Po otrzymaniu stopnia odbywają oni wyższe kursa spობające ich na tak zwanych *wyzwoleńców*. Trzeci, najwyższy kurs przygotowuje ich do doktoratu. Nauka tak wysoce jest cenioną w Chinach, i tak wyjątkowo nadaje przywileje, że nawet rodzina prostego wyrobnika zaliczoną zostaje odrazu do arystokracji, jeżeli ma szczęście posiadać syna, któryby dostąpił zaszczytu złożenia *examinów*. Rodzice w takich razach czczeni są na równi z dziećmi.

W każdym większym mieście najokazalszy gmach jest ten, w którym odbywają się doroczne *examina*. Zawiera on mnóstwo sal naukowych i dziedzińców otoczonych dokoła małymi celkami dla studentów, których tam zamykają, dając im tylko zeszyt białego papieru, kałamarz i pędzel. Warta ustawiona dokoła nie dopuszcza żadnej komunikacji zewnątrz. Bywa czasem tak, że dziesięć do dwunastu tysięcy uczni stają do *examinu*. Przez kilka dni cała ta ludność młodzieńcza pozostaje w więzieniu, odosobniona zupełnie od świata i zajęta tylko: redagowaniem artykułów próbnych na temat polityczny lub religijny; komentowaniem tekstów wyjętych z pism świętych i układaniem zdań prozą i wierszem. Zdarza się niekiedy że który z kandydatów umiera z wycieńczenia i nadmiaru umysłowej pracy,—wtedy przebijają ścianę celi zewnątrz i w tajemnicy wynoszą trupa, aby nie przeszkodzić w rozmyślanii innym kandydatom.

Ażeby sobie zdać sprawę, jak publiczność umie zachęcać młodzież do nauki i pobudzać w niej żądze wiedzy, trzeba widzieć, jak uroczysty pochód przez miasto wyprawianym bywa zwycięzcom.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika działalności kobiecej.

— Ustawa Towarzystwa wzajemnej pomocy kobiet lekarek w Petersburgu została zatwierdzoną.

— Bogata kapitalistka, zamieszkała w Kazaniu, Alexandrowa, ofiarowała 500.000 rs. na zbudowanie w Kazaniu gmachu dla biblioteki publicznej, muzeum przemysłowo-pedagogicznego, oraz bezpłatnego ambulatoryum.

— Dom Schronienia nauczycielek w Królikarni, ofiarowany tej instytucji przez hr. Pusłowską, piękny piętrowy budynek, okazuje się jednak zamalym na pomieszczenie tak stałych pensyonerek, jak i czasowo tam bawiących, wskutek czego rada opiekuńcza zakładu zamyśla o powiększeniu lokalu przez przybranie sąsiedniego budynku. Podczas miesięcy wakacyjnych przebywało w Schronieniu kilka nauczycielek, jako na letniemu pomieszkaniu dla odetchnięcia świeżym powietrzem i odpoczynku po całorocznych trudach. Schronienie jest dla nauczycielek miejscem ważniejszego jeszcze odpoczynku, bo po cięższym mozole, po pracy całego życia, gdzie podeszły a samotne znajdują na stare lata spokojną i wygodną przystań za cenę tej skromnej summy, jaką wniosły sposobem składki płaconej corocznie przez stowarzyszone. Dziwić się też należy, że nie wszystkie jeszcze nauczycielki czynne należą do tej błogosławionej instytucji. Młode nie myślą może o samotnej przyszłości, przewidywać jej nie chcą, gdy jest jeszcze daleko, lecz Schronienie może istnieć i rozwijać się odpowiednio tylko wtedy, jeżeli popiera je będzie ogół nauczycielek, dla których jest to na każdy przypadek: niemocy, braku zajęcia, jakoby dom rodzinny. Rekomendacja zakładu znaczyć też powinna dla każdej rozsądnej matki i znaczy niewątpliwie wiele więcej, niżeli wszelkich kantorów strężeń.

— Na wzór kolonii poprawczej moralnie zaniedbanych chłopców w Studzieńcu ma powstać u nas wkrótce instytucja podobna dla dziewcząt, przygarniająca sieroty niemające domu rodzinnego i oddające się włóczęgowstwu, oraz skazane przez sądy na oddanie do domu kary i poprawy. Środki tej poprawy w przyszłym zakładzie będą: I-o Wychowanie religijno-moralne, rozwijanie władz umysłowych i fizycznych. II-o: Zatrudnienie pracą pożyteczną, a to: gospodarstwem domowym, pracą w ogrodach i warsztatach. III o Nauka elementarna i udzielenie wiadomości pożytecznych. IV-o. Opieka po wyjściu z zakładu. Zakład przyjmuje dziewczęta od lat ośmiu do do czternastu, najkrócej na lat trzy, lecz nigdy nie dłużej ponad ukończenie 18 lat wieku. Liczba wychowanek wziętych do zakładu za żebractwo i włóczęgowstwo jest ograniczona do 50, a przyjmowane tam one być mogą tylko za poświadczeniem władzy, to jest naczelnika powiatu lub gubernatora, że umieszczenie ich w zakładzie jest potrzebne dla porządku publicznego. Przecież każdy członek Towarzystwa Osad Rolnych i przytułków rzemieślniczych ma prawo żądać od władzy miejscowej umieszczenia wskazanej dziewczyny w zakładzie. Wymagane tu jest przecież odpowiednie świadectwo lekarza o stanie jej zdrowia.

Sposób życia, zajęcia i utrzymania wychowanek odpowiada tu trybowi życia w rodzinach wieśniaczych i rzemieślniczych, nauka udzielana im stosuje się do programu jednoklassowej szkoły elementarnej. Towarzystwo Osad Rolnych rozciąga w razie potrzeby opiekę nad uwolnionymi z zakładu dziewczętami, aż do ich pełnoletności i w tym celu stara się dla nich o pracę odpowiednią i pomieszczenie zapewniające sposób do życia, nadto powierza je i wtedy jeszcze pieczy mianowanych przez siebie opiekunek, których obowiązkiem jest odwiedzać *pupille* swoje i umacniać je w przekonaniach moralnych. Zakład utrzymuje się z opłaty rządowej za nieletnie skazane

na przebywanie w zakładzie, z dochodu, powstającego z pracy wychowanek, na koniec z ogólnych funduszy Towarzystwa Osad Rolnych. Otrzymało ono w ciągu ostatniego roku na kolonie poprawcze dla dziewcząt zapisów trzy: od Dr. Juliusza Jałowickiego 1.250 rubli, od świętej pamięci Oktawiusza Hilchena 1.000 rubli, od ś. p. Klotyldy Sucheckiej 1.000 rubli.

— Towarzystwo jedwabnicze mianowało korespondentem swoim na powiat rypiński i przyległe okolice p. Emilią Groswald. Osoby przychylnie rozwijającemu działaniu Towarzystwa i pojmującemu jego znaczenie w zakresie gospodarstwa krajowego, pragnące też poprzeć jego działalność w charakterze członków korespondentów, powinny zgłaszać się z tą dobrą chęcią swoją do zarządu Towarzystwa. Zarząd, pragnąc zachęcić do hodowli jedwabników, postanowił nabywać wyborowo korony z tegorocznej hodowli, płacąc po rublu za funt. Towarzystwo mieści tymczasowo biuro swoje w lokalu redakcyi *Zorzy: Nowy-Swiat 5*.

— Pani Marya Kotarska zwróciła się do redakcyi naszego pisma z uwagą, że panie wiejskie mogłyby działać może najskuteczniej przeciw nieszczęśliwemu obłędowi emigracyjnemu ludu przez kobiety właścianki. Jest żartobliwe przysłowie francuzkie, że czego chce kobieta, chce i Bóg... otóż tu poczciwa chęć kobiety mogłaby rzeczywiście być w skutkach działania swego może najskuteczniejszą z usiłowań czynionych, gdyby wytrwale i z przejęciem wzięto się do dzieła. Trafając w przemówieniach poufnych do uczucia matki i małżonki, jako matka też i małżonka, znająca najdokładniej jak drgają w łonie kobiety tętna serdeczne—budząc niewiadomą siebie w piersiach prostych siłę przywiązania do tego kawałka ziemi, gdzie stała nasza kolebka, i gdzie złożoną być powinna trumna, możnaby otrzymać wiele. Zaczyna korespondentka nasza ma słusność za sobą, kładąc to jako obowiązek ludzi inteligentnych, zbliżonych do ludu. Trzeba „sięgnąć do wnętrza i zatargać“ a kobieta ze dworu może w tym kierunku wymóżyć bardzo wiele na kobiecie z chaty, oświecając umysły ciemne—wykazując jak nędzna spekulacja agentów sprzedaje ich i ich dzieci za srebnik Judaszowy. Myśl działania tu przez kobiety zaczyna przedstawiać się umysłem, jako środek skuteczniejszy od innych, bo i korespondent *Gazety Warszawskiej z Konina* pisze:—„Kobiety są powszechnie przeciwnie wychodźtwa i działanie przez nie okazałoby się najskuteczniejszym“.

— W Marcu nadchodzącego roku ma być urządzoną w Warszawie wystawa arcydzieł malarzkich, projektowana przez znaną, a dotąd z nazwiska nie wymienioną filantropkę, która pragnie zyskać tym sposobem grosz potrzebny dla wsparcia ubogich naszego miasta. Pani ta wywiaduje się zabiegliwie o osobach, posiadających dzieła celniejszych malarzy naszych i obcych, aby pozyskać je dla wystawy, a jest to działanie dobroczynne w szlachetnym znaczeniu tego wyrazu, bo nie odwołuje się dla zyskania potrzebnego ubogim grosza, do próżności ludzkiej, do lekkiego używania życia, jak to bywa wtedy, gdy ściągają się ludzi, aby stroili się i tańcowali na rzecz biednych. Bale, tańczące wieczory i pikniki na ubogich, są najcięższą ironią dobroczynności i układu naszego towarzyskiego życia, bo wydatki na stroje przenoszą niemal stokrotnie to, co zostanie tu dane ubogiemu. Inną przecież jest rzecz, gdy za dobry uczynek miłosierdzia dana zostaje ludzkom możność szlachetnego używania przez wyższe, lepsze strony istoty naszej. Już w temsamem jest uczynkiem dobrym przez następcę im tego.

— Marya Dulembianka stale zamieszkała w Wiedniu.

— Księżna Konstantowa Radziwiłłowa otrzymała od Papieża jako nagrodę za dzieła dobroczynne złotą dekoracją: „Pro Ecclesia et pontifice“.

— Księżna Sanguszkowa z Lubomirskich zapisała na rzecz Zakładu Ossolińskich we Lwowie 5.000 zł. reńskich.

— P. Moszyńska ofiarowała na tworzący się przy uniwersytecie lwowskim wydział rolniczy 12.000 zł. reń.

— Odeszła na wieczne odpoczywanie kobieta wielce zasłużona w tym dziale literatury, przez który zyskuje się zasługę społeczną; Emilia z Kurówskich Pufkowa, pisząca dla młodzieży i ludu zmarła w Poznaniu. Pierwszą jej pracą literacką były przekłady z niemieckiego pisarza, wysoce cepionego w tym zakresie piśmiennictwa, Krzysztofa Szmid'a: *Turcy pod Wiedniem*, *Ferdynand*, *Klasztor Kartuzów* i wiele innych, rozchodzących się licznie i czytanych z pożytkiem przez lud i młodzież. Pisała obok tego oryginalnie i w kole lat od 1861 do 1886 r. wyszło zpod jej pióra kilkadziesiąt utworów oryginalnych i tłumaczonych, ogrzanych ciepłem szczerego uczucia, zawsze z uczciwą, obywatelską myślą przewodnią. *Baśni Wielkopolskie*, zebrane dla młodzieży, mają te wielką zasługę, że przechowały się w nich kwiaty rodzimej poezji i fantazji ludowej, zanikającej dziś, lub obiekającej się w szatach innej, mniej oryginalnej i nie tak rdzennie swojskiej. Obok tego wydawała w 1862 r. pismo dla matek i dzieci *Światelko*, którego wyszło po sześciu latach, a razem utwory te większe i mniejsze, rozchodzące się w wielkiej liczbie, wywierały wpływ znaczny a zawsze dodatni, umoralniający. Po wyjściu za mąż poświęciła się obowiązkom wychowywania własnych dzieci, z których dała społeczeństwu uczciwych, na prawych drogach życia pożytecznie pracujących ludzi.

— Róża Bonheur wykończyła bardzo przez znawców ceniony obraz większych rozmiarów, przedstawiający szkockiego górala pasterza, spoczywającego pod drzewem.

— Trzech deputowanych francuzkich przedstawiło parlamentowi wniosek, aby w razie złego prowadzenia się męża, żona mogła zwrócić się do sądów pokoju o upoważnienie, aby zarobek jej należał wyłącznie do niej, a zarazem, aby opuszczona małżonka miała prawo do pewnej części zarobku męża na potrzeby rodziny.

— W Indyach rozległ się poraz pierwszy głos kobiety przemawiającej publicznie. W Mysorze należąca do kasty Braminów żona przełożonego nad szkołą krajowców „Marimaleappa“ miała odczyt wykazujący jak wielkie są korzyści wykształcenia, „dary rozumu“; i jak na odwrót niewiadomość, „ciemnota umysłu“ sprowadza na kobietę nieobliczone klęski i braki w życiu. Zwracając się do przeszłości, prelegentka przypominała słuchaczkom wszystkie uczone kobiety ich narodu i dodała: „Wraz z zagaszeniem światła w umysłach kobiet przepadła wielkość Indyi i ktoby cofnął się myślą wstecz do przeszłości (2.000 lat w tył) przekonałby się, jak wielka była różnica tych czasów odległych, kiedy kobieta, nie ujarzmiona przez ciemnotę przymusową, stała wśród rodziny i społeczeństwa jako współpracownica mężczyzny i naczelniczka rodziny, wychowawczyni dziecka. Bez kobiet oświeconych i rozumiejących życie niema dobrych matek, niema więc tego wpływu urabiającego ludzi do owych cnót w rozwoju życia wewnętrznym, na których opiera się podstawa życia ogółu. Niechby społeczeństwo i rodziny wydały na cele kształcenia kobiety setną część tego, co idzie potem z kieszeni mężów na stroje i zbytki żon, a rodziny opływałyby w dostatki i pannałby wśród nich niezakłócony spokój i szczęście.

Przekonania takie zaczynają się już rozpowszechniać w Indyach. W Hyderabad istnieje dla dziewcząt krajowych przez krajowe towarzystwo oświaty kobiet założona szkoła: „Zenana School“ i indyjski władca miejscowy użył szkoły znacznej przestrzeni ogrodów swoich wraz z budynkiem na rzecz szkoły. Jest to wprawdzie

pierwsza szkoła publiczna dla dziewcząt indyjskich klas wyższych.

Z bieżącej chwili.

— Według dzienników petersburskich nowy projekt przepisów o myśliwstwie obejmuje między innymi, środki ochrony syberyjskich soboli, bobrów i innych zwierząt o kosztownym futrze, które oddawna wyginęły już w Europie.

— W Towarzystwie Technicznym w Petersburgu, wypracowuje się program wystawy wyrobów glinianych, oraz przedmiotów z aliazów metalicznych.

— Pod budowę kościoła przy ulicy Dzikiej nabity grunt obejmuje 10.000 łokci kwadratowych. Zamiast mniejszego, filią jedynie stanowiącego kościoła, wzniesie się parafialny większych rozmiarów, w stylu wiślano-baltyckim, mogący pomieścić 1.000 osób. Roboty rozpoczną się prawdopodobnie za nadejściem wiosny.

— Komitet Towarzystwa Sztuk Pięknych rozpatrywał na ostatnim posiedzeniu swoim nadesłane z Paryża egzemplarze próbne reprodukcji w akwafortcie obrazu Zdzisława Jasińskiego: „Chora Matka“. Reprodukcja ta, dokonywana przez niepospolitej zdolności rytownika Felixa Jasińskiego, jest przeznaczona na tegoroczne premium dla członków Towarzystwa. Spodziewać się można, że pierwszy transport odbić, dokonanych w Paryżu u Clementa, nadejdzie do Warszawy w Grudniu.

— Przepiękny obraz Chełmońskiego: „Powrót z kościoła“ został wybrany do reprodukcji, mającej służyć za premium dla członków Towarzystwa Sztuk Pięknych na rok 1891. Obraz ten, obecnie własność p. Ludwika Temlera, znajdował się niedawno w salonie Towarzystwa na urzędzonej tam wystawie dzieł Chełmońskiego.

— Dwa pierwsze tomy wyboru poezji Wład. Syrokomli (Kondratowicza), wydanego staraniem oraz pod redakcją A. Pługa i W. Korotyńskiego, wyszły z druku. Pierwszy tom zaopatrzonej jest przedmową Korotyńskiego. Dawne zbiorowe wydanie dzieł tego sympatycznego rdzennie naszego poety, wyszło temu lat osiemnaście. Wydanie obcane zawiera utwory najcenniejsze, a co tam jest rzeczy przeslicznych: „Jan Dąboróg“, „Marger“, „Spowiedź pana Korsaka“, „Kęs chleba“, „Janek cementarnik“, „Stare Wrota“, „Nocleg Hetmański“! Wszystko przecież, co się tam znajduje, jest szczerą poezją z rodzimego złota naszego uczucia. W każdym domu, gdzie niema dawnych dzieł Syrokomli, znaleźć się powinien ten ich przedruk wyborowy, który, dodać trzeba, idzie na korzyść wdowy i dzieci poety.

— „Ateneum“ za miesiąc Listopad porusza w kronice miesięcznej smutną sprawę wychodźstwa naszego wiejskiego ludu. Pękła jakaś tama, jakaś grobla, i wezbrana fala ludzka pędzi do Ameryki, a my, cośmy wierzyli tak długo w silne przywiązanie wieśniaka do gruntu, który uprawia—do ziemi, stojmy w smutnym podziwieniu nad tem, co się dzieje. „Ciężkie lata nieraz bywały, są zakątki gdzie praca musi być krwawą, a przecież siedzą tam ludzie i ubogiej matki porzucić nie chcą“. Cóż to więc za nieszczęśliwy popęd, ta gorączka emigracyjna? Autor dodaje na podstawie świadectw ludzi, żyjących na miejscu tej klęski, że to nie bieda wytworzyła między ludem

ten obłęd zębny. Lud nasz nie jest skłonny do takiej rzutki awanturniczej, więc wszystko to jest sprawą agentów, którzy nietylko ukazują tam kędyś poza morzem żyzne łany bezpańskie, które emigranci obejmą, ale tu na miejscu krążą wśród wiosek wieści potworne. „Wieści te nieprawdopodobne, zapowiadają utratę ziemi, utratę wszystkiego—rodzaj końca świata“.—Chłop nasz—pisze ten bystry i znający rzecz obserwator—nie jest skłonny do koczownictwa, i zagrodę rodzinną opuszcza już w ostateczności; i stawia za przykład znany sobie wypadek, gdzie parobkowi folwarcznemu znajomy inżynier zaproponował posadę dróżnika mogącą poprawić w bardzo znaczny sposób byt jego pod względem materialnym i zarazem dać mu względną niezależność, on przecie nie przyjął. Gdzie się tam miał przewłóczyć?.. a było to o cztery mile tylko, głównie żona desperowała na samą myśl o takim wydaleniu się z miejsca. „Płakała, lamentowała“ i mąż został gdzie ciężko pracować musiał a teraz oto: „tenże sam człowiek z namowy tejże żony, z niemowleciem przy piersi, bez żadnych środków pieniężnych puścił się do Ameryki“.

Znany pisarz i znawca ludu, Zygmunt Gloger, poruszył w „Słowie“ tęsamą kwestyą klęski niespodziewanej, a jako ratunek przed nią proponuje: aby księża zostali upoważnieni do niewydawania metryk potrzebnych wychodźcom konieczne, czego przecież jako urzędnicy stanu cywilnego, własnowolnie bez odpowiedniego nakazu władzy wyższej czynić nie mogą. Dalej zakaz kupowania rzeczy od wieśniaków emigrujących, położyłby prawie napewno kres temu szaleństwu, bo często emigrant posiada ten jedynie gotowy grosz na drogę, który ze sprzedaży chudoby swojej zbierze.

„Kuryer Warszawski“ wysłał specjalnego agenta dla zbadania sprawy, ale będzie to jedynie sposób dowiedzenia się naczynego o nędzy emigrantów, której opisywane obrazy nie dostaną się nawet do chłopca.

— Wystawa mająca się odbyć w Pradze w roku przyszłym, już się objawia przez ruch dokonywanych przygotowań. Przestrzeń 360.000 metrów kwadratowych w parku Stromówka, została na ten cel oddana i pracuje na niej 2.000 robotników. Wznoszą się gmachy murowane i budowle drewniane; halle żelazne obok tego będzie 80 pawilonów a wśród tego wszystkiego rozmieści się 27 grup okazów. Przedmioty przemysłu zajmą najobszerniejszą hallę żelazną, obejmującą 17.000 metrów kwadratowych przestrzeni, a dodać trzeba, że wszystkie te budynki, również jak bramy wiodące na wystawę będą w stylu staro-czeskiego renesansu. Sztuka czeska przedstawi obraz rozwoju swego z całego wieku. Podobnie przedstawionym będzie obraz piśmiennictwa z lat stu. Wydatki obliczone zostały do wysokości 1.233.700 zł. reń. Oświetlenie będzie elektryczne. Między wydatkami znajduje się pozycja 20.000 zł. reń. na tanią restaurację dla ludu. Cały ogół narodu czeskiego będzie więc mógł brać udział odpowiedni w tej uroczystości narodowej i dojść do świadomości zasobów kraju przez obraz przedstawiony mu tutaj przed oczy.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Bogata panna** przez Pawła Morcieux przekład z francuzkiego.

TREŚĆ: Pogawędka. — Hrywda. Powieść przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Przegląd Teatralny, przez Stanisława Krzeńskiego. — Korrespondencya zagraniczna (Poznańska). — U Chińczyków, przez Tcheng-Ki-Tong. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści, pod tytułem: **Bogata Panna**, przez Pawła Morcieux Przekład z francuzkiego. — Przegląd mód. — 22 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekretu gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

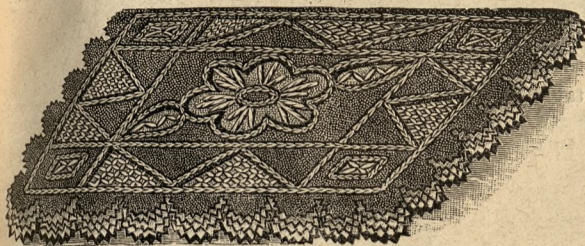
Koronka klockowa.

Rycina Nr 4 i 5 do ryc. Nr 3 w Bl. Nr 45.

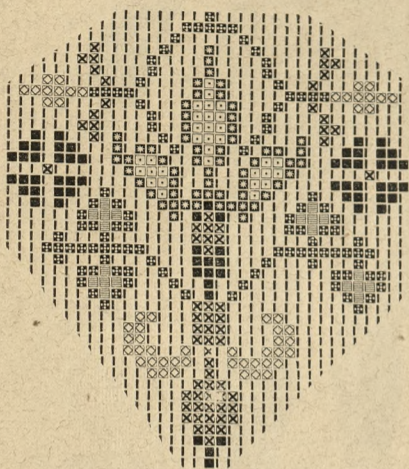
Na taką koronkę użyć należy 60 par klocków i nici koronkowych Nr 100, oraz 7 par klocków z początkową nitką średniej grubości błyszczącej bawełny na otaczanie figur. Przygotować wzorek Nr 8, którego ryc. Nr 3 przedstawia część powiększoną, umocować takowy na poduszce i podług ryc. Nr 5 wykonywać deseń. Wpiąć szpilkę w każdą oznaczoną liczbą dziurkę: 1, a do ad. Zawiesić na każdej z wyjątkiem 1, ab i ac 2 pary klocków a na ostatnio wymienionej 1 parą kloc. Wykonać 3 i 2 parą pół ścieg i obydwoma parami 1 okręcić. 2 i 1 kl. ścieg podwójny. Szpilkę wyjąć

od dz. 16—18. Nitkę II przez 7 par przepr., pół ścieg od dz. 19 do 21. Nitkę I przez 4 p. przepr. i wykon. tło od dz. 22 do 23, poczem 2 i 1 p. brzeg. Szp. wp. w dz. 24 i nitkę II przez 7 do 2 p. przeprow. (patrz ryc. Nr 5). Pół śc., 12 i 13 p. każdą raz okr., 1 dz. okręc. 12 i 11 p. Szp. wp. w dz. 25, nitkę III przez 11 p. przepr. i od dziur. 26 do 35 wykonać tło, przy czem nitkę II i I podług wskazówek przez odpowiednie pary przepr. 1 dz. okr. 13 i 12 p. Szpil. wp. w dz. 39, nitkę III przez 12 p., od dz. 40 do 45 tło. Nitkę II przez 6 p. przepr., 6 i 5 parą 1 pół śc. i szpil. wp. w dz. 46;—15 i 14 parą oraz 17 i 16 p. każdą pół ścieg i raz okręcić, poczem od dziur. 47 do 61 tło oraz brzeg, przy czem nitkę III, II i I przez odpowie-

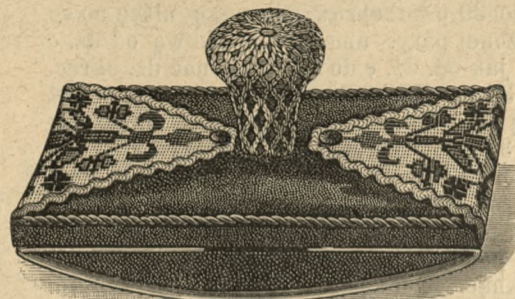
dnie p. przeprow. Nitkę IV przeprow. przez 17 do 9 p., nitkę II przez 7 do 2 p., 18 i 19 p. pół ścieg i od dz. 62 do 65 tło. Od 20 do 21 p. ścieg cerowany, 22 i 23. 24 i 25, 26 i 27, oraz 28 i 29 p. każdą pół śc. Następnie rozpoczynając od 24 i 23 p. od dz. 66 do 71 tło, 21 i 22 p. 1 dz. okręc., szpil. wp. w dz. 72. Dz. okręc. 22 do 19 p. Szpil. wp. w dz. 73, ścieg cerow. 19 do 23 p. Szpil. wp. w dz. 74. Dz. okręc. 23 do 18 p. Szpil. wp. w dz. 75. Dziur. okręc. 18 do 21 p. Szpil. wp. w dz. 76. Dz. okr. 21 do 17 p. Szpil. wp. w dz. 77. Dz. okr. 17 do 20 p. Dz. okr. 21 do 24 p. Szpil. wp. w dz. 78. Dz. okr. 24 do 20 p. Szpil. wp. w dz. 79. Dz. okr. 21 do 18 p. Szpil. wp. w dz. 80. Dz. okręc. od 18 do 23 p. Szpil. wp. w dz. 81. Dz. okr. 23 do



Nr 2. Książeczka na igły ozdobiona haftem. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 77).

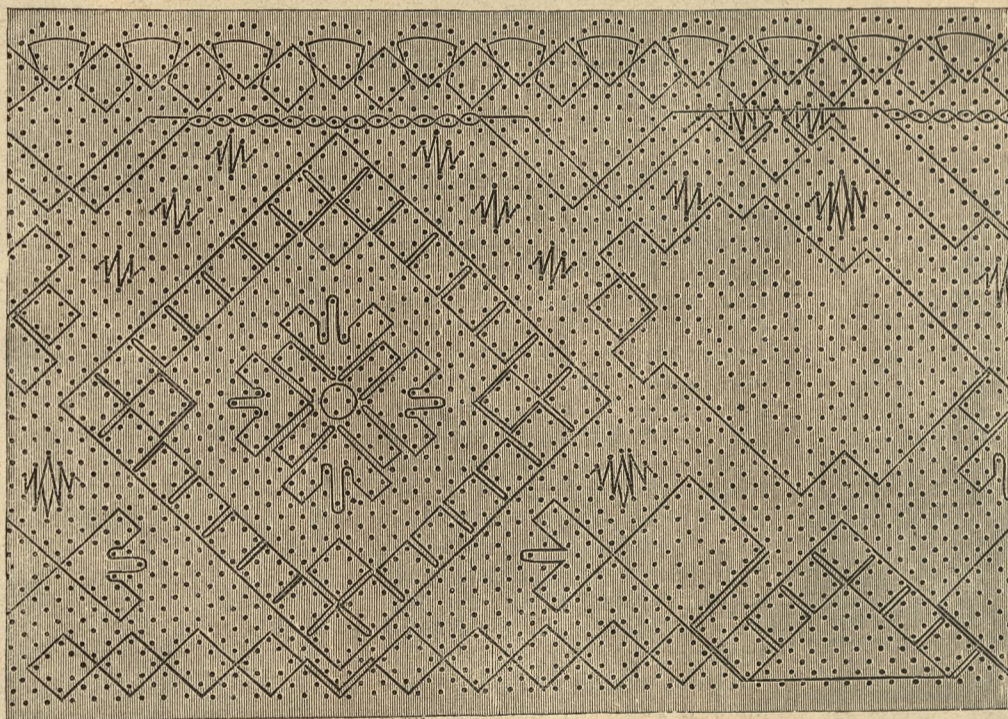


Nr 1. Deseń do ryc. Nr 3. ■ ponsowy, □ różowy, * pomarańczowy, □ granatowy, □ jasno-niebieski, □ oliwkowy, □ jasno-zielony, ' tło.

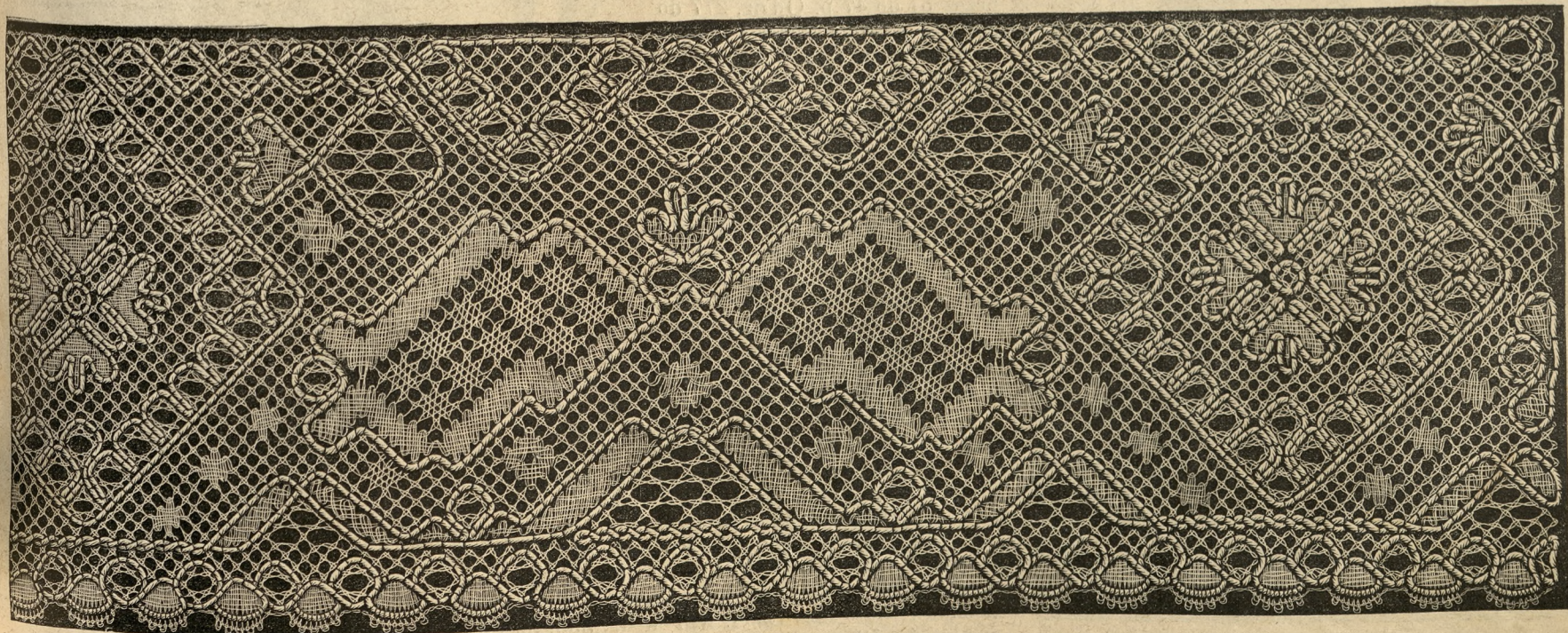


Nr 3. Wycieraczka do piór ozdobiona haftem krzyżowym (do ryc. Nr 1).

19 p. Szp. wp. w dz. 82 i tak dalej aż do dz. 84. Tę ostatnią zamknąć 20 i 21 p. i 24 do 17 p., każdą 2 razy okręcić, co wykonać należy po każdej cerowanej fig. Od dz. 85 do 92, rozpoczynając od 16 i 15 p. tło, nitkę IV przeprow. przez 14 do 18 p., poczem 14 i 13 p. rozpoczynając wykonać od dziur. 93 do 99 figur. ścieg dziurkow. okręc., przy czem z każdego boku przybrać po 1 p., następnie dz. okr. 10 do 13 p. Szpil. wp. w dz. 100. Dz. okręc. 13 do 9 p. Szpil. wp. w dz. 101. Dz. okr. 9 do 12 p. Szp. wp. w dz. 102. Dz. okręc. 12 do 10 p. Szpil. wp. w dz. 103 i zamknąć 10 i 11 parą, poczem dziur. okręc. 13 do 15 p. Szpil. wpiąć w dziur. 104 i powracając temiż p. koronkę wykonywać. Następnie dz. okręc. 15 do 18 p. Szpil. wp. w dz. 105. Dz. okręc. 18 do 15 p. Szpil. wp. w dz. 106. Dz. okręc. 15 do 17 p. Szp. wp. w dz. 107 i zamknąć 17 i 16 p. Okręcić 9 do 13 p. po 2 razy. Nitkę III przeprow. przez odpowiednie p. Szp. wp. pomiędzy 13 p. i nitką w dziur. 108, przepr. nitkę przez 13 parę, 1 dziurkę okręc. 13 i 14 p., okręcić 18 do 14 p. po 2 razy, przez też same przepr. nitkę IV. Szpil. wp. w dz. 109, pomiędzy nitką i 14 p. przepr. nitkę, wykonać 1 dziur. okręc. 14 i 13 p. Okręc. 13 p. raz, przeprow. nitkę



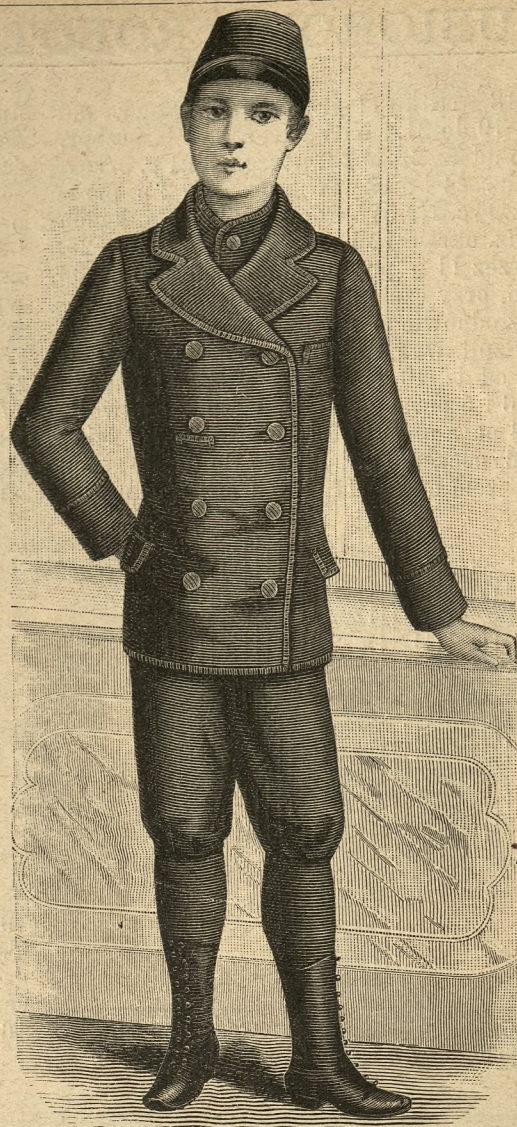
Nr 4. Wzór na koronkę Nr 5 (szerokość oryginalna).



Nr 5. Koronka wykonana na klockach (do ryc. Nr 4 i do ryc. Nr 3 w Bl. Nr 45).

z dziur. 1 i pomiędzy parą wpiąć w tą samą; podwójn. ścieg. zamknąć i 2 parą 1 raz okręc. Następnie tło koronki wykonać ścieg. kręc. dziurk., 1 pół ścieg 5 i 4 parą, obydwie 1 okręcić, 1 pół śc. 4 i 3 parą. Szpil. wp. w dziur. 2; obie pary 1 okręc., szpil. pół ścieg. zamknąć, obie pary 1 okręcić, 1 dziur. okręc. 2 i 3 parą. Szpil. wp. w dziur. 3, poczem wykonać prosty brzeg koronki, ciągle 1 śc. podwój. 2 i 1 parą. Szpil. wp. w odpowiednią dziur. (na wzorku 4) 7 i 6 parą 1 pół śc. obie pary 1 okręc., 1 dziur. okręcana 6 i 5 parą. Szpil. wpiąć w dz. 5. Poczem 1 parą z błyszczącą bawełną i przerabiać rzędy rzymskimi oznaczone cyframi od lewej ku prawej stronie, przy czem wykonywać tło kręconymi dziur. i wp. szpil. w dz. 6, 7 i 8. Nitkę I przeciągnąć przez 2 parę i szpil. wp. w dz. 9. Następnie ścieg dziurkow. 4 i 3 parą. Szpil. wp. dz. 10. Nitkę I przez 3 parę przeciągn. 3 i 2 parą ścieg dziur. Szpil. wp. w dziur. 11, 1 i 2 parą brzeg. Szpil. wp. w dz. 12, poczem 8 i 9 parą pół śc. Obydwie pary 1 okręc. Następnie tło: wp. szp. w dz. 13 i 14; nitkę II przez 6 par przeprowadzić, 1 dz. okręc. 6 i 5 parą. Szp. wp. w dz. 15 i 16 i III parą nitkę przeprowadzić przez 17 do 10 pary. Szp. wyjąć z dz. e, f, g, h—i przez nitkę pomiędzy każdą parą w te same dz. wp. 10 i 11 parą pół śc. Nitkę III przez 10 p. przepr. i wykon. tło

II przez te p. wykonać dz. okręć. 13 i 12 p. Szp. wp. w dz. 110, nitkę przezpr. przez 13 p., po czym 1 dz. okr. 13 i 14 p., ostatnią 1 okręć nitką IV przez 14 p. przezpr., 1 dz. okręć. 14 i 15 p. Szp. wp. w dz. 111, nitkę przezpr. przez 14 p., 1 dz. okręć. 14 i 13 p. Szpilkę wpiąć w dziurkę 112, zamknąć takową i obie p. raz okręć., po czym umocować nitkę. Jednocześnie nitkę IV przezpr. przez 14 i 13, III przez 13 i 14 p. i każdą p. raz okręć. Zeszyć nitki razem i obciąć. Przy powtórzeniu pojedynczych fig. w miejscu oznaczonym * na wzorku, ciągle nową parę nitek zakładać i takowe przy zakończeniu fig. jak poprzednio umocować. Następnie wykonać tło od dz. 113 do 189, przy czym nitki I i II przeprowadzać przez odpowiednie pary pojedynczo lub razem. Przez 40 do 30 p. przezpr. pierwszą nitkę nowo założonej pary, umocować takową od dz. o do t, jak od dz. e do h. Wykonać dz. okręć. 30 i 35 p. Wyjąć szpil. z dz. q i wp. w tąż samą dz. pomiędzy pary, po czym dz. okręć. 35 i 30 p. Nitkę przezpr. przez 29 p., dz. okręć. 29 i 30 p. Szpil. wp. w dz. 190 i od tejże do 194 tejże fig. wykonać dziurki okręcane, przy czym z obydwóch boków ciągle 1 parę pomijając, następnie szpil. 31 i 32 parą zamknąć. Następnie 42 i 43 parą, 44 i 45, oraz 46 i 47 każdą wykonać 1 pół ściąg. potem 1 dz. okręć. 44 i 43 p. Szpil. wp. w dz. 195 i rozpoczynając 36 do 41 p. wykonać jak poprzednio figurę ścięciem cerowanym, przy czym szpil. wp. w dz. 196 do 202 i nitkę IV przez odpowiednie p. przeprowadzić. Potem

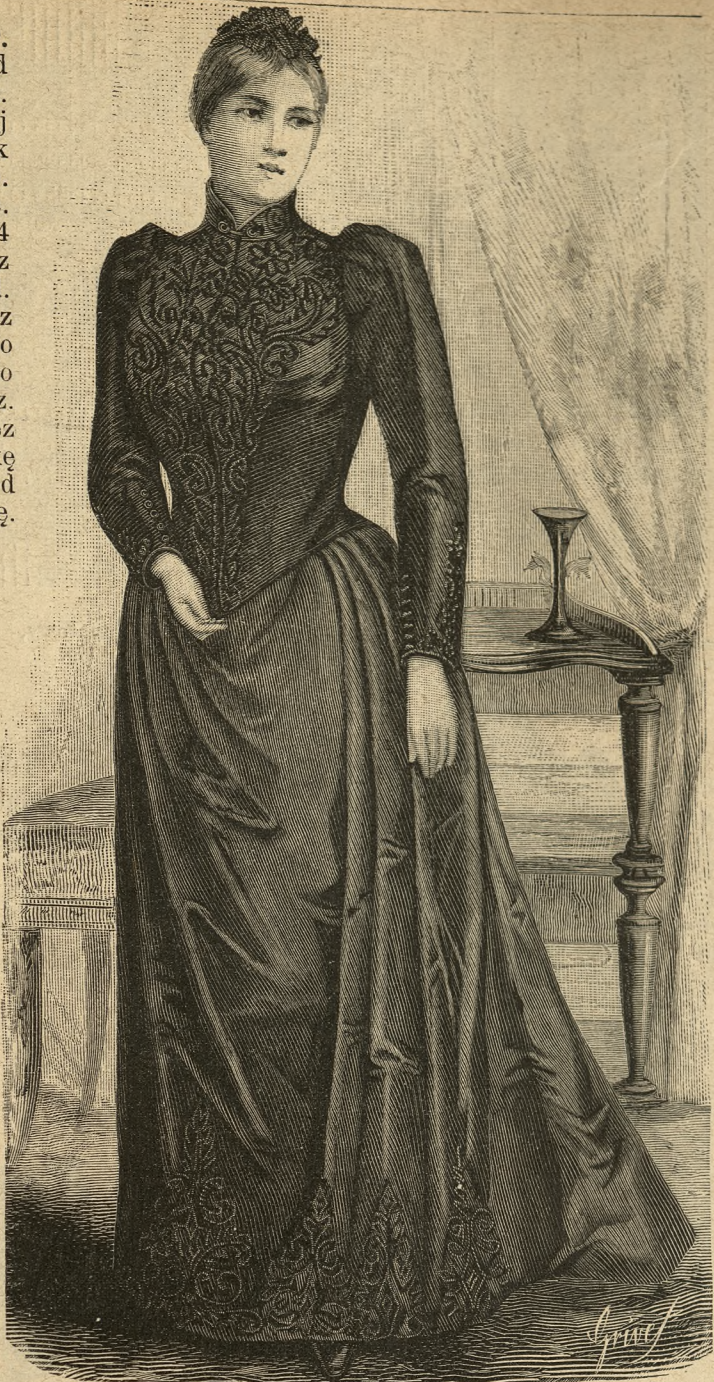


Nr 8. Ubranie dla chłopczyka od 11—14 lat (do ryc. Nr 14). Krój i opis pierwsza str. tabl. Nr I, fig. 1—11.



Nr 6 i 7. Płaszczki dla panienki od 5—7 lat. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 34—44).

Szpil. wp. w dz. 203 do 210, nitkę przezpr. przez 29 do 53, nitkę IV przez 43 do 33 i najprzód użytą nitkę przez 36 do 38 p. przezpr. wszędzie zaś gdzie obie nitki przeprowadzone jedna na drugiej nie należy pomiędzy nimi par okręcać. Potem wykonać okręcane dz. od dz. 203 do 210. Jedną z nitek przezpr. przez 33 do 38, drugą przez 38 do 33 p. Obciąć obydwie nitki i wykonać tło od dz. 211 do 269. Nową nitkę przezpr. przez 51 do 45 p., poczem dz. okręć. 48 do 51 p. Szpil. wyjąc z dz. y, pomiędzy parami w tąż samą wp. dz. i od tejże szpil. do dz. 276 wykonać fig. ściąg. cerowanym. Ostatnią szp. 46 i 47 parą zamknąć a 45 do 51 każdą 2 razy okręcić. Nitkę III przezpr. przez 45 do 46 p. nitkę IV przez 51 do 47 p. Od dz. 277 do 284 tło, wykonać mały kwadrat od dz. 285 do 292 ściąg. cerowanym, następnie 1 pół śc. 52 i 53 p. i tło od dz. 293 do 305. Przezpr. nową nitkę przez 59 do 54 p. umocować takową jak poprzednio i wykonać 1 pół ściąg 54 i 55 p., oraz 58 i 59 p. Od dz. 306 do 308 tło, poczem nitkę VI przez 59 do 57 p., nitkę V przez 54 do 53 p. Od dz. 309 do 321 tło i przezpr. nitkę V przez 56 parę. Na brzeg lukowaty koronki przymocować na poduszce tylko 60 par i wykonać jak następuje: 1 pół ściąg 60 i 59 p. Szpil. wp. w dz. 322, zamknąć takową 1 pół śc., 59 p. raz okręcić. Nitkę VI przez tę ostatnią przezpr., 1 dz. okręć. 58 i 59 p. Szpil. wp. w dz. 323 i zamknąć 59 p. raz okręciwszy. Nitkę VI przezpr. i p. raz okręcić, 1 ściąg podwójny 59 i 60 parą. Szpil. wp. w dz. 324 i zamknąć raz okręciwszy. Brzeg zewnętrzny luków ciągle robić tym sposobem, tło zaś ściąg. cerowanym, stosownie do potrzeby pary przybierać lub ujmować. Szpil. wpiąć w odpowiednie dz. Szpil. wp. w dz. 333, 59 i 58 p. zamknąć a 59 p. raz okręcić. Następnie nitkę VI przez te pary przezpr. i robić 1 pół śc. 59 i 60 p.



Nr 9. Suknia dla starszej i tegiej osoby (do ryc. Nr 15). Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 45—52).

W końcu szpil. wp. po nad dz. 486 znajdującą się *, zawiesić na teje nową parą klocek, które oznaczamy III i IV. Nitkę III przez 27 do 4, nitkę IV przez 28 do 51 p. przezpr., potem 1 pół śc. 27 i 28 p. Szpil. wp. w dz. 486, obydwie pary raz okręć. szpil. zamknąć pół ściąg., obydwie p. raz okręć. Szpil. zamknąć pół ściąg., obydwie p. raz okręć. Od dz. 487 do 493 wykonywać dz. okręcane i w oddzielnej dz. ae oznaczoną szpil. wp. Na teje szpil. zawiesić nową parę klocek, które oznaczamy V i VI. Nitkę V przezpr. przez 30 do 25 p., umocować szpil. na poduszce, przezpr. przez 25 do 27 p., następnie nitkę VI przez 30 do 28 p. i wykonać robotę od dz. 494 do 501 od dz. 502 do 509, jako też od dz. 486 do 493. Nitki odpowiednio do wzoru przezpr., poczem od dz. 510 do 517 tak jak poprzednie figury. W końcu skrzyżować obie nitki jak wskazuje ryc. i wykończyć robotę podług opisu i ryc. Nr 5.

Kapelusz z aksamitu.

Rycina Nr 10.

Forma z petynety z główką 5½ cent. z przodu a 7 cent. z tyłu wysoką. Rondo zgięte podług ryc. Pokryty aksamitem czarnym zewnątrz i wewnątrz. Główka podług ryc. ułożona w bufy. Przybranie ze wstążki aksamitnej 6 cent. szer. koloru oliwkowego i 6 czarnych strusich piór.

Kapelusz z filcu.

Rycina Nr 11.

Kapelusz okrągły z filcu koloru popielatego

nitkę III przez 29 do 53, nitkę IV przez 43 do 33 i najprzód użytą nitkę przez 36 do 38 p. przezpr. wszędzie zaś gdzie obie nitki przeprowadzone jedna na drugiej nie należy pomiędzy nimi par okręcać. Potem wykonać okręcane dz. od dz. 203 do 210. Jedną z nitek przezpr. przez 33 do 38, drugą przez 38 do 33 p. Obciąć obydwie nitki i wykonać tło od dz. 211 do 269. Nową nitkę przezpr. przez 51 do 45 p., poczem dz. okręć. 48 do 51 p. Szpil. wyjąc z dz. y, pomiędzy parami w tąż samą wp. dz. i od tejże szpil. do dz. 276 wykonać fig. ściąg. cerowanym. Ostatnią szp. 46 i 47 parą zamknąć a 45 do 51 każdą 2 razy okręcić. Nitkę III przezpr. przez 45 do 46 p. nitkę IV przez 51 do 47 p. Od dz. 277 do 284 tło, wykonać mały kwadrat od dz. 285 do 292 ściąg. cerowanym, następnie 1 pół śc. 52 i 53 p. i tło od dz. 293 do 305. Przezpr. nową nitkę przez 59 do 54 p. umocować takową jak poprzednio i wykonać 1 pół ściąg 54 i 55 p., oraz 58 i 59 p. Od dz. 306 do 308 tło, poczem nitkę VI przez 59 do 57 p., nitkę V przez 54 do 53 p. Od dz. 309 do 321 tło i przezpr. nitkę V przez 56 parę. Na brzeg lukowaty koronki przymocować na poduszce tylko 60 par i wykonać jak następuje: 1 pół ściąg 60 i 59 p. Szpil. wp. w dz. 322, zamknąć takową 1 pół śc., 59 p. raz okręcić. Nitkę VI przez tę ostatnią przezpr., 1 dz. okręć. 58 i 59 p. Szpil. wp. w dz. 323 i zamknąć 59 p. raz okręciwszy. Nitkę VI przezpr. i p. raz okręcić, 1 ściąg podwójny 59 i 60 parą. Szpil. wp. w dz. 324 i zamknąć raz okręciwszy. Brzeg zewnętrzny luków ciągle robić tym sposobem, tło zaś ściąg. cerowanym, stosownie do potrzeby pary przybierać lub ujmować. Szpil. wpiąć w odpowiednie dz. Szpil. wp. w dz. 333, 59 i 58 p. zamknąć a 59 p. raz okręcić. Następnie nitkę VI przez te pary przezpr. i robić 1 pół śc. 59 i 60 p.

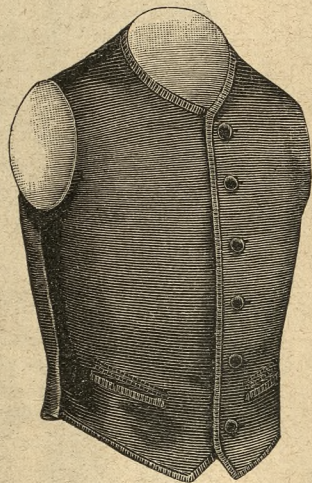


Nr 16. Suknia spacerowa z szewjotu. (Op. pierw. str. tabl.)

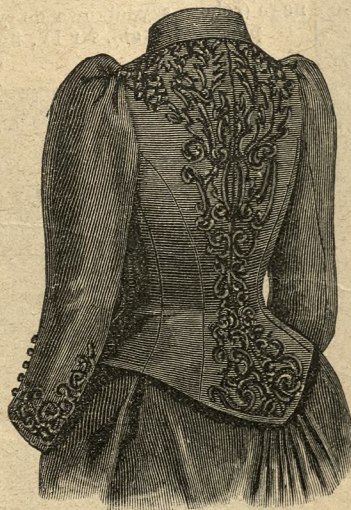


Nr 10. Kapelusz z aksamitu.
Nr 12. Kapelusz z aksamitu.

Nr 11. Kapelusz z filcu.
Nr 13. Kapelusz z kastoru.



Nr 14. Kamizelka do ubrania ryc. Nr 8. (Kr. i op. pier. str. tabl. Nr I, fig. 4 i 5).



Nr 15. Płecy do sukni ryc. Nr 9. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 45—52).



Nr 17. Suknia z materiału jedwabnego gładkiego i w pasy. (Opis pierw. str. tabl.)

z bardzo niską główką, przybrany aksamitem koloru ciemnego. stalową kłamrą i 3-ma białymi strusiem piórami.

Kapelusz z aksamitu.

Rycina Nr 12.

Kapelusz dla starszej osoby. Rondo z aksamitu koloru żółtego, podszyte wewnątrz aksamitem czarnym i pokryte czarną koronką. Główka ułożona miękko z aksamitu czarnego. Pióra strusie czarne i wstążki do wiązania tegoż koloru $2\frac{3}{4}$ c. szer.

Kapelusz kastorowy.

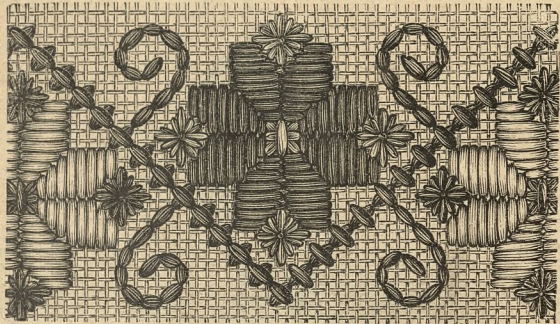
Rycina Nr 13.

Kapelusz z kastoru koloru jasno-brązowego, przybrany szarfką z czarnej koronki ułożoną w wysokości kokardy na druciku. Dwa czarne ptaki wykończają całość.

Paletot dla panienki od 8—10 lat.

Rycina Nr 19 i 20. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53 do 59).

Skrajać z materiału „diagonal“ koloru piaskowego oraz z podszewki fig. 53—56 i 59 po dwie części, fig. 59 z materiału złożonego wzdłuż środka. Podług fig. 57 i 58 rękawy z uwzględnieniem konturu podszewki. Przednie części obłożyć pod spodem materiałem i podkładem, w górnej części na 14 c., w dolnej zaś na 10 c.



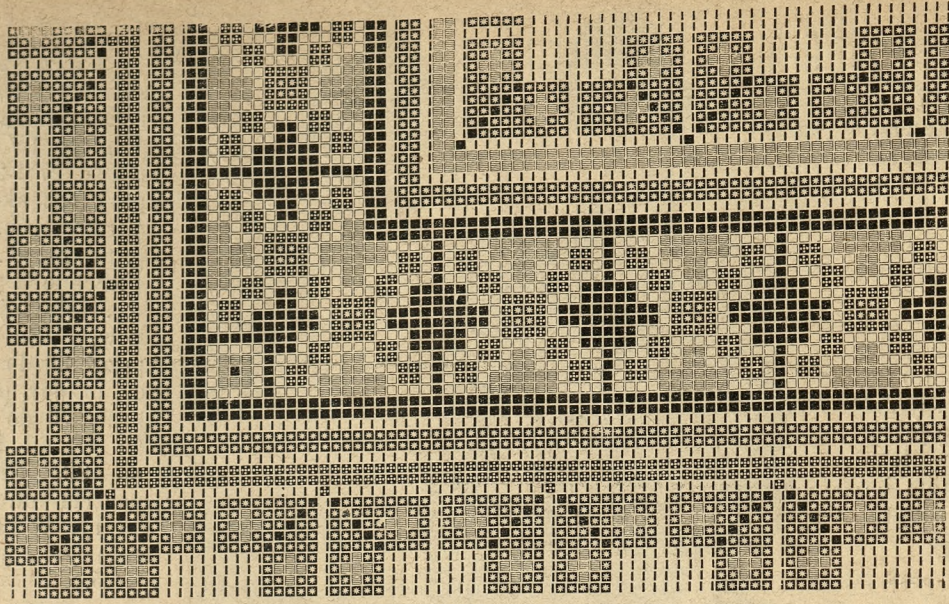
Nr 22. Szlak do ryc. Nr 21.



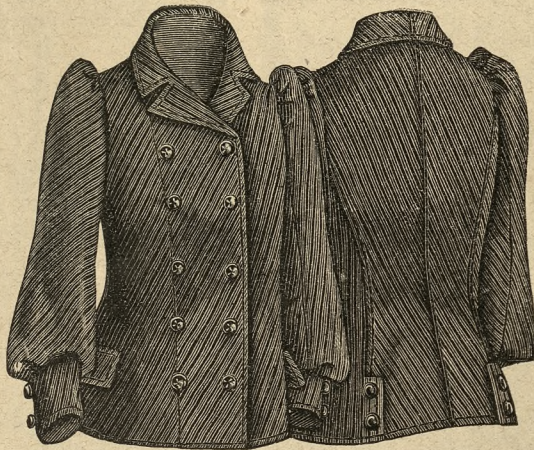
Nr 23. Część haftu do ryc. Nr 26 (wielkość oryginalna).



Nr 26. Haft na serwetki i poduszki (do ryc. Nr 23). Ścieg: łańcuszkowy, gałązkowy, płaski, dziergany i krzyżowy. Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 33.



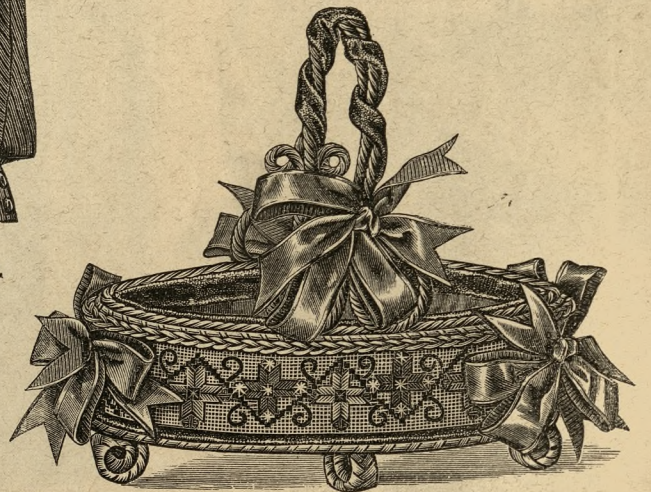
Nr 18. Deseń na serwetki, portyery i t. p. (robota krzyżowa). ■ Granatowy, □ jasno-niebieski, ▣ ciemno-brązowy, □ jasno-brązowy, □ crème, ' tło.



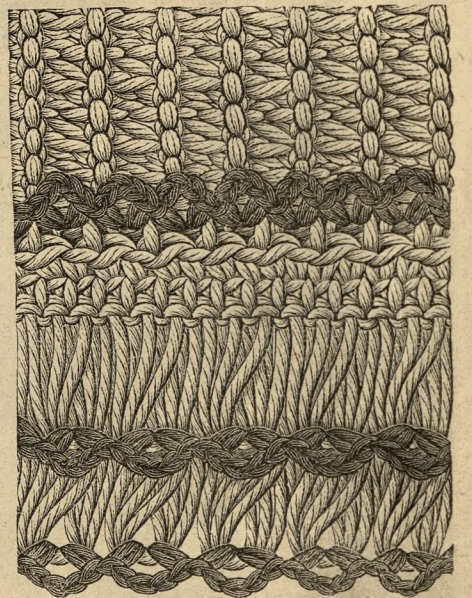
Nr 19 i 20. Kaftanik dla panienki od 8—18 lat. (Kr. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53—59).



Nr 24. Sukienka ranna dla dziecka rocznego (robota szydełkowa do ryc. Nr 25). Kr. pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 31 i 32).



Nr 21. Koszyczek na klucze ozdobiony haftem (do ryc. Nr 22).



Nr 25. Część roboty szydełk. do ryc. Nr 24.



Nr 27. Dywanik przed łóżko.

szer. Wykonać nacięcia i powszywać w takowe kieszenie, oraz kłapeczki 4 c. szer. Wykonać szew od 41 do 42, połączyć plecy i przednie części podług cyfr, zaszyć kołnierzyk od 45 do 49, wszyć takowy od 45 do 50 i wyłożyć razem z przednimi częściami wzdłuż linii zgięcia. Przyszyć guziki wzdłuż linii i wykonać dziurki. Napierśnik zaopatrzyć podszewką i przypinać pod spodem na guzik przy szwie ramienia. Zeszyć rękawy z podszewki od 51 do 52 i od 53 do 54, oraz z materiału podług cyfr, zmarszczyć takowe w dolnym brzegu od † do †, przyfastrygować do podszewki odpowiednio do cyfr, wszyć w mankiet od dwukropka do 53. W górnym brzegu zmarszczyć od * do * i wszyć w kaftanik trafiając na 54 w 54 paszki.

U W A G A

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w numerze 45 służy też do numeru dzisiejszego.